

# Kamena

NR 4 (824)

24 lutego 1985

CENA 10 ZŁ

8	9	10	11	12	13	14	15
23		24	25	26	27	28	
38	39	40	41	42		43	44
53		54	55	56	57	58	59
68	69	70	71	72		73	74
83		84	85	86	87	88	89
99		100	101	102	103	104	105
114	115	116	117		118	119	120
130	131	132	133	134		135	136
146	147	148	149		150	151	152
162	163		164	165	166	167	
	176	177	178	179	180		

## Naród i państwo w dobie kryzysu

...Kryzysy gospodarcze zawsze wywołują cięższe lub cięższe schorzenia świadomości. Jeżeli do załamania gospodarczego dołącza się czynnik gwałtownej agresji przeciwko samym podstawom ustroju, a zaburzenia w sferze gospodarczej przeradzają się w bezpardonową walkę polityczną — świadomość płaci za to przewlekłą chorobą, pełną nakładających się powikłań i poważniejszą w skutkach od tej przyczyny, która ją spowodowała.

W Polsce nagromadził się materiał zapalny zarówno na kryzys gospodarczy, jak i polityczny, a połączenie się tych dwóch czynników w jeden materiał wybuchowy doprowadziło świadomość do stanu chaosu, w którym z łatwością rozdzieliły się i rodzą humorystyczne recepty na zbawienie Polski.

W zamieszaniu pojęciowym zanika dyscyplina logicznego myślenia kierująca na ogół ludźmi w czasach normalnych, a rośnie w szansach demagogia prymitywna odwołująca się do urazów i przesądów. Jest to stara jak świat prawidłowość kryzysów, że ostatecznie ich można mierzyć powodzeniem demagogów.

W Polsce zebrało się więcej niż gdziekolwiek indziej gospodarczych i politycznych przesłanek kryzysowych, ponieważ Polska była i jest krajem o szczególnie trudnych warunkach roz-

wojowych. Jeden z najbardziej opóźnionych krajów Europy, położony w newralgicznym miejscu, gdzie opóźnienie kosztuje najdrożej, dotknięty w rozmiarach szczególnie dotkliwych przez wyniszczającą wojnę, po której ze skromnego dorobku pozostało pro-

w dniach 14-15 lutego br. odbywała się w Warszawie ogólnopolska konferencja na temat „Literatura Polski Ludowej — ocena i prognozy”. Inicjatorem zwołania konferencji był Wydział Kultury KC PZPR i Ogólnopolski Zespół Pisarzy Partyjnych. Dokonano przeglądu osiągnięć naszego piśmiennictwa w 40-lecie Polski Ludowej oraz przedstawiono perspektywy rozwoju życia literackiego. Obrady prowadził sekretarz KC PZPR Waldemar Świrgoń. Obecni byli: zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR Jan Głowczyk i wicepremier Mieczysław F. Rakowski. Przedstawiamy fragmenty pracy Andrzeja Wasilewskiego: „Naród i państwo w dobie kryzysu”. Autor referował ją na wspomnianej konferencji.

porcjonalnie mniej niż gdziekolwiek indziej; po wojnie ogarnięty przyrostem populacji, czyniącym z niego Indie Europy — z 24 do 37 milionów, w czterdzieści lat o 50 proc., prawie o tyle, ile liczy sobie cała Czechosłowacja.

Tak depresyjne warunki w połączeniu z tak wielkim przyrostem ludności musiały tworzyć napięcia ekonomiczne w wielokrotnionej skali, tym bardziej że do uprzemysławiania kraju przystąpiono bez większych doświadczeń zarówno po stronie władzy, jak i mas społecznych.

Wszystko to sprawiło, że wśród rozwijających się krajów Europy Polska pozostawała ciągle krajem porównawczo największych braków i tłoków, degradujących niewygód cywilizacyjnych, utrzymujących się mimo nieustannych wysiłków. Potencjał gospodarczy rósł, ale nie procentował tyle, ile w krajach bardziej umiarkowanych pod względem populacyjnym.

Najwyższy stopień utrudnienia w dziedzinie gospodarczej zaostrzyły jeszcze uwarunkowania polityczne.

Polska wyszła z wojny politycznie rozdarta, z krwawym frontem półwojny domowej zostawiającej jątrzące się rany, z zajądłą emigracją polityczną wykorzystującą urazy porozbiorowe dla osłabienia wszelkimi sposobami nowej Polski, z otwartą na nowo kwestią stosunków państwo-Kościół, znaczącą w Polsce więcej niż gdziekolwiek indziej, z wielomilionową diasporą Polaków, wzmagającą przez samo fizyczne ciężenie niefor-

Ciąg dalszy na str. 2

W następnym numerze:

„Wielki grajdoł?”

- ciąg dalszy

II nagroda w konkursie „Kamena” na wspomnienia z okazji 40-lecia Polski Ludowej

## TU JEST POLSKA

**U**RODZIŁEM się w roku 1917 w Welnowcu na ziemi górnośląskiej, w rodzinie, w której bardzo żywe były tradycje patriotyczne. Moja matka, robotnica w hucie, i ojciec — hutnik tyrali po dwa-nasze godziny, od świtu do szarówki, by zarobić na całonocne spodnie, perkalową spódnicę i kapuśniak z kartoflami. Mimo to, kiedy na Śląsku wybuchły powstania, nie zawahali się ani chwili. Dumny jestem z moich rodziców, ludzi prostych, lecz o prawych, gorących sercach.

Kiedy w sierpniu 1920 r. Niemcy napadli na siedzibę Polskiego Komitetu

Plebiscytowego w Katowicach, w obronie tego Domu brał udział także bracia mojej matki, Roman i Maksymilian Szwałdowie. Bohatersko odpierali oni wraz z innymi ataki napastników, którzy w końcu podpalili budynek, zmuszając obrońców do przenoszenia się na coraz wyższe piętra. Położenie załogi Domu Plebiscytowego stawało się coraz trudniejsze; brakowało broni i amunicji. W tej beznadziejnej sytuacji moja matka dostarczyła naszym broni krótkiej i amunicji, przewożąc ją w wózku dziecięcym, w którym ułożyła mego młodszego brata, Władka. Mówiono o niej potem: „To była matka Polka”.

I tak rośliśmy z bratem w tej powstańczej atmosferze, dzieląc czas pomiędzy szkołę a kopanie szmacianki. Dorastaliśmy, a z nami rosły kłopoty rodziców. Matka już nie pracowała, ojciec miał często „wysadki”. Roboty w hucie było coraz mniej. Lata 1929-1935 wlokły się pod znakiem kryzysu. W hucie wybuchły krótkotrwałe strajki. Rosło bezrobocie; rodziny całe żyły z zasiłków dla bezrobotnych, pobieranych z opieki społecznej.

Mnie się wyjątkowo poszczęściło: w 1934 r. uzyskałem pracę w Zarządzie

Ciąg dalszy na str. 4-5

Henryk Makarski  
OTO BAJKA  
NAJPRAWDZIWSZA

bochen chleba z polskiej mąki  
w której ręk skrwawiona treść  
kaleczonych językami  
ostów skrytych w głębi zboża  
oto nasza wspólna świętość  
oto sprawa — oto sens  
oto bajka najprawdziwsza  
oto racja najuczciwsza  
oto najdzielniejsza treść

ziarnka maku — słowa proste  
jak stwardniałe łzy obronne  
już stłamszone już zmiażdżone  
już z makówek kapie olej  
a na dłoniach białe bąble  
nabremniwiają mgłą czerwioną  
czy w wszystkich? nie wiadomo  
czasem puchnie tylko język  
i zaplachają linie życia  
wilgotniejąc na zdanie —  
czasem prawda tkwi w prawiach  
tak obrzękłych od klęskania  
jak od pracy ponad siły



# Naród i państwo w dobie kryzysu

Ciąg dalszy ze str. 1

tunny nasz okcydentalizm, naruszającą równowagę kraju, a jednocześnie przez zobojętnienie nie przynoszące krajowi znaczących korzyści — dość, by ledwo stworzony państwowy organizm uginał się pod ciężarem zwielokrotnionych przeciwności.

Dotkliwie zapóźnienie Polski wymagało mobilizacji największych wysiłków dla gospodarczych przeobrażeń kraju, mobilizacji organizowanej przez centralną władzę. Ale to właśnie było obce tradycji politycznej, która nie darmo całymi wiekami stawiała opór odgórnym zarządzeniom, próbującym nakładać państwowe ciężary.

...Tradycja polityczna nie ułatwiała więc państwu mobilizowania środków na rozwój gospodarczy, a kiedy na domiar wszystkiego centralne władze wykazały się niedostateczną kompetencją, marnotrawieniem środków i brakiem rozważań, odtworzył się z atawistyczną siłą konflikt między apeliacją skarbu państwowego a zwartą masą społecznego oporu... Od momentu przerwania łączności pomiędzy gospodarką uosabianą przez państwo a nastrojami mas społecznych zaczyna się reanimacja politycznych demonów, drzemiących od wygaśnięcia półwójny domowej... Uderzenie w gospodarcze budownictwo socjalizmu musiało stać się w Polsce ugodzeniem w jedyną realnie istniejącą szkołę pragmatycznego myślenia, przez którą unowocześniła się polskie społeczeństwo.

...Kryzysy w ogóle ogłupiają ludzi, jak choćby w nieszczęsnej Republice Weimarskiej, gdzie zbieg potężnych wstrząsów gospodarczych z zapiekłymi urazami nacjonalistycznymi na tle poczucia urojonej krzywdy wywołał długotrwałe objawy szaleństwa. Inne to były czasy i inne tradycje, niepodobne także skutki dla ludzkości, ale szalony mechanizm kryzysu wytrącający ludzi ze stanu równowagi i popychający ich do zachowań nieprawdopodobnych pojawia się jako stała prawidłowość w różniących się poza tym okolicznościach.

...Prokapitałistyczna orientacja ustrojowa, podszywana przez opozycję polityczną, utrudnia w Polsce budowanie tego, co kapitalizm dawnym wybudował, kosztem wysiłku i wyrzeczeń mas, o jakich u nas nikt pojęcia nie miał. Nigdy jednak opozycja ta nie przyznała się do fałszu, że świecąc w oczy przykładami społeczeństwa wysoko uprzemysłowionego, zaciekle zwalcza jego trudny poród we własnym kraju. Stąd wypływają źródła krańcowego ogłupienia, zatrującego kryzysowe stany świadomości polskiej od chwili, gdy nad ich urabianiem zaczęli pracować ludzie tego fałszywego autoramentu... Jest rzeczą charakterystyczną, że orientacja powołująca się na efektywność i dobrobyt uprzywilejowanych krajów kapitalistycznych na polskim gruncie stara się rozniecać najbardziej antyproduktywne tradycje społeczeństwa. W rzeczy samej nie idzie jej bowiem o to, by kryzys przewycięzić, lecz o to, aby go zaostriżyć.

...Przestępstwem, dokonywanym na polskiej świadomości, jest sączenie w nią jadawitego przeświadczenia, że aktualne położenie Polski to kopia wieku XIX, a te sposoby narodowego życia, które wypracowane zostały w okresie niewoli, powinny stać się polską normą także dzisiaj.

Jest to główny motyw tej wścieklej obróbki, której poddane zostało polskie społeczeństwo.

Uwięzić jego zbiorowe myślenie w stereotypach ubiegłego wieku, narzucić mu z powrotem psychozę niewoli, zepchnąć do kotła pełnego urazów i trzymać pod ciągłym ciśnieniem — oto psychologiczne założenia niezliczonych inscenizacji, odgrywanych na scenie codziennego życia przez reżyserów ciągłego spektaklu.

...W gorącym inscenizowaniu sięgnięto do wszystkich reminiscencji powstańczo-martyrologicznych naraz, przekształcając każdy dzień w panoramiczny fresk ilustrujący epopeję zmagania narodu polskiego z niewolą. Stłoczeni ciasno na codziennej scenie występowali jednocześnie obok siebie filomaci ukrywający się przed wywózką na Sybir i łączniczki biegające z torbą po okupacyjnej Warszawie, damy okryte żalobą po powstaniu styczniowym i mieszkańcy Generalnej Guberni odmawiający przywitania się z kolaborantem, podchorążowie nocy listopadowej i gawrosze z barykad warszawskiego sierpnia, emisariusze Wielkiej Emigracji i tajemniczy kurierzy okupacyjnego podziemia, męczennicy gotowi spędzić życie w kazamatkach i głosiciele polskiego słowa na tajnych uniwersytetach.

Scena steatralizowanego życia, na której nie fakty się liczą, lecz role, wszystko jakoś mieściła obok siebie, choć nie bez pewnych ukrytych kłopotów. Należało koniecznie połączyć w jedną całość zatarte już urazy z okresu zaborów ze świeżymi urazami z czasów okupacji, ale tak, aby z sumy tych reminiscencji zniknęły wszelkie ślady najeźdźcy z Zachodu.

Z kłopotem tym uporano się nad podziw gładko, przestawiając po prostu w odwrotnym kierunku pamiętne symbole czasów okupacji. Znak Polski walczącej z niemieckim okupantem stał się wezwaniem do walki przeciw „reżimowi”. Symboliczne „V” koalicji antyhitlerowskiej podzucione zostało mało co wiedzącym nastolatkom, milicję obelżywie równano z gestapo, dając tym dowód znikczemienia i głupoty.

Zaduszkowe spotkania nad grobami poległych, okolicznościowe nabożeństwa narodowe coraz bardziej przekształcają się w historyczne misteria, w których nad rzeczywistą pamięcią historii bierze górę duch irracjonalnej męczeńskiej krucjaty.

Owiani kontrreformacyjnym duchem kaznodzieje o głosach przepelnionych tak niezłomną słodyczą, że zdają się samoczynnie unosić ich do nieba, dokonują interpretacyjnych cudów, odnajdując w tekstach Ewangelii św. fragmenty stworzone najwyraźniej z myślą o Polsce współczesnej, o szatańskich mocach, które ją niewolą i o krzyżowej drodze zmartwychwstania.

Mógłby ktoś powiedzieć, że jest to tylko rytuał językowy służący Kościołowi od stuleci i nie mający pragmatycznych celów. Tak jednak nie jest, bo właśnie te parafialne nauki, wyrzucane słowa z sakralnych kontekstów i rzucające je do aktualnych bojów w nie zawsze najbardziej świetlnych intencjach — są kuźnią stereotypów obiegających masy, skrajnie uproszczonych i pełnych uprzedzeń, zamykających umysł przez nie porażonym drogę do bardziej złożonego pojmowania świata.

...Jeżeli kontrreformacyjną kaznodzieję, przywracającą nam z takim animuszem status egzotycznego zakątka Europy, działającą raczej wśród umysłów prostych nie stawiających wysokich wymagań, to w środowiskach o wyższych standardach umysłowych działalność misjonarską w tym samym kierunku prowadzi specjalna formacja towarzyska składająca się z osób nawiedzonych romantyzmem.

Przez określenie to nie należy rozumieć stowarzyszenia miłośników literatury oddających się ulubionej epoce. Takie miłośnictwo wysokiej tradycji jest zjawiskiem zdrowym i chwalebny. Chociaż formacja towarzyska składa się z jakiejś części z uczonych badaczy, bynajmniej nie zapala do studiowania konstytuują ją w jednorodnym ciele, ale doznanie tego samego poczucia posłannictwa, które kaznodzieje żywią wobec maluczkich.

Przedmiotem jego jest spuścizna romantyczna, ale już nie jako wielka epoka literacka, lecz jako ewangelia narodowa, której nauki mają charak-

ter dogmatyczny, nienaruszalny i obowiązujący póki Polska Polska, domagającej się zatem swego apostołstwa zarówno do interpretowania zgromadzonych wskazań, do aktualizacji ich wykładni, jak też do najszerszego głoszenia w narodzie.

W ten sposób doszło do uformowania apostołskiego ciała, wyspecjalizowanego w romantycznej ewangelii, przy której jego członkowie zaciągają straż jako najbardziej powołani egzegeci i głosiciele. To znaczy — najbardziej kompetentni specjaliści od polskości posiadający wiedzę o jej najczystszej substancji i będący sami przez się instancją kontrolną.

Na dobrą sprawę nie wiadomo bliżej, na czym polega duchowa reduta strzeżona przez samozwańczą straż. Należy po prostu przyjąć za aksjomat, że jest to warownia prawdziwej polskości, w której przechowywane są na wieki wieków nienaruszalne polskie imponderabilia.

Magiczna wprost kariera tego słowa o nieco liturgicznym brzmieniu jest sama przez się najlepszym komentarzem do sposobów funkcjonowania wspomnianej warowni. Posługuje się ona rodzajem zaklęcia na tyle nieokreślonego, by zmieścić w nim dogodne aktualne hasła, a zarazem na tyle mesjanistycznego, by podać je w charakterze wzniosłego nakazu.

W żadnym innym kraju słowo to nie znalazło takiego awansu, nigdzie nie stało się słowem przodującym w repertuarze pojęć politycznych. Bodajże Piłsudski pierwszy wpadł na pomysł wykorzystania niejasnej wzniosłości, która emanuje z tego słowa i wprowadził je na szeroką skalę do swojej frazeologii politycznej.

...Idealnej okazji do obróbki dostarczają w Polsce problemy kultury obrosłe gąszczem specjalnych uczuleń...

...Problemy, z jakimi boryka się dzisiaj kultura, mają charakter zasadniczo różny od tych, z którymi miała do czynienia kultura narodu rozczłonkowanego i pozbawionego własnej państwowości. A jednak, korzystając z niedookreślenia, z jakim można rozprawiać o sprawach kultury, grając na dawnych i nowych kompleksach, usiłuje się stworzyć między nimi funkcję. Z pomocą rozegaltowania i samonapędzającej się hysterii rozpętała wokół dzisiejszych problemów ten sam nastrój heroicznego trwania w obłęzieniu, który cechował kulturę w niewoli, raz po raz strzelając w niebo race w obronie impoderabilii. Raz po raz zapalają się sztuczne ognie wyreżyserowanych gestów i szumnych deklamacji — na dowód tego, że taki a taki stoi na straży, o czym zawiadamia się kraj i Europę.

Kiedyś wiązało się to z jakimś kosztem, ryzykiem straty i cierpienia... Jednak w sytuacji, w której manifestowanie nie tylko nie wystawia na większe ryzyko, ale na odwrót — stało się rentowne i to na wielu płaszczynach, autentyczność wychodzi z wszystkich i z wszystkiego. Gotowość do poświęceń zamienia się w pozór, cnota w spryt, strata w wykalkulowane zyski. Zamiast chwaly, która otacza bojowników sprawy rozgrywanej się w wymiarze autentycznym, pozorantom przypada jedynie namiastka eksponowana w okazały sposób. Jest nią specyficzny rodzaj nadziei. Wyraża ona niezłomność postawy zasadzającej się na dwóch pryncypiach: na niezłomnej pewności co do nagród, które spływają w życiu na pryncypialistów, oraz na nie mniej ważnym upewnieniu, że w istniejących warunkach walka o zasady nie naraża na poważniejsze ryzyko.

Osobnik nadęty imponderabiliami to symulant walki o wzniosłą sprawę.

...W moralno-politycznych okolicznościach, jakie ukształtowały się w Polsce w ostatnich latach, powstały najwyraźniej dogodne warunki do formowania się takich osobników, bo wyroiły się ich całe chmary. Dlaczego gdzie indziej wzniosłe egzaltacje o dość przejrzywym konklukturalnym podłożu nie mogły stać się w wiek-

szych grupach ludzkich obowiązującą normą celebrowaną z całym nabożeństwem, mimo tej komedianckiej niepowagi?

Jeżeli zastanowimy się nad tym kompleksem nie spotykanych gdzie indziej zachowań, będziemy musieli dojść do przekonania, że w naszym spadku kulturowym, przejmowanym z dobrodziejstwem inwentarza, istnieje jakaś uparta anomalia i że to ona kształtuje postawy w sposób odbiegający od normy.

Uważam, że tym infantylizującym spadkiem, nieznanym poza naszą tradycją duchową, jest spadek po związku zawartym pomiędzy romantyzmem a kontrreformacją.

...Zaden z europejskich krajów nie musi borykać się z takim zastępnym światem podświadomych pojęć, z taką fatalistyczną inercją odruchów jakie zostawił nam w spadku po sobie wymuszony przez historię związek tych dwóch rządzących Polską mitologii.

...Niefortunne dziedzictwo duchowe po części z linii romantycznych przodków, po części z ducha wojującego Kościoła, uczyniliśmy znakiem naszej tożsamości i z nim jako z nienaruszalnym nakazem na drogę postanowiliśmy wybrać się po złote runo do brzegów cywilizacji przemysłowej.

...Jest paradoksem, że właśnie socjalizm, okazujący aż przesadne względy dla każdego kamyczka z budowlą przeszłości, dokładający nieustannych starań do podtrzymania słabnących tradycji, trzymany jest stale w ogniu oskarżeń za wyniszczanie bezcennej spuścizny.

...Zachód wspiera w Polakach to, co przeszłościowe, a co u siebie dawno wykorzenił. Oczywiście, demonstrować nam również nowe technologie i nowe wzory cywilizacyjne, wypracowane właśnie dzięki temu, że w toku wielowiekowych zabiegów upowszechniły się tam produkcyjno-racjonalny etos. Ale gdy idzie o nas, schlebia tym tradycjom, które nas od takiego etosu odwodzą. U nas ma być irracjonalnie, szaleńsko i męczeńsko, dobrobyt mamy wymodlić w procesjach, a do wolności dążyć fanatycznie, nie troszcząc się o sprawy praktyczno-gospodarcze.

...Wszystko, czym może poszczycić się duch, który prowadzić nas miał do „drugiej Japonii”, to nieprzytomny kult tradycjonalizmu i wytrzebienie myśli w wymiarze przyszłości. Wynika to z najgłębszych cech duchowych tego ruchu szerczego takie oto odruchy myślowe: teraz nie ma warunków, żeby się wysilać, a kiedy takie warunki powstaną, przyszłość sprawdzi się i wszystko nam dadzą; jeżeli tylko okazemy się godni tego, a godni to znaczy jak najbardziej tradycyjni, bo właśnie Zachód za to nas polubił. Demonstrowamy więc naszą tożsamość w gestach, protestach, procesjach i misjach, natężamy się w naszym tradycjonalizmie, bo jest to nasze największe bogactwo, nasza zasługa wobec opatrzności i Zachodu, a o resztę niech nas głowa nie boli.

Taka jest podświadoma filozofia mikroba wspomnianego ruchu, niezależnie od tego czy jest to cwaniaczek o horyzontach zamkniętych bazarem Różyckiego, czy niezłomny wychowanek parafialnych nauk, czy profesor zażywający sławy uczonego, czy pisarz wstępujący z reguły w imieniu narodu. Dla nich wszystkich bez różnicy płci i wykształcenia samowystarczalną rekojmią przyszłości jest zanurzenie się w mitologii narodowej z całym dobrodziejstwem wad, fetyszów i złudzeń, za wytrwanie, za które spotka nas nagroda w postaci manny z zachodniego nieba.

Uwagi te, rzecz jasna, nie są skierowane przeciwko pielęgnowaniu rodzimych tradycji składających się na nasz dziejowy dorobek, od którego w odcieraniu nie można zaprojektować żadnego wykonanego programu na przyszłość. Roztropne i dalekowzroczne rozpoznawanie cech, które należy ochraniać i cenić, dowodzi mądrości sterników rozwoju. Oczywiście jest wręcz, że bez swego patrimonium naród nie mógłby po prostu istnieć, ani niczego wspólnie zaplanować.

To, co należy się od nas tradycji nie może być odniesione do tradycjonalizmu, który jest jej postacią zwyrodniałą, sfanatyzowaną i agresywną... Wszelkie kultywowanie przeszłości może

Dokończenie na str. 10



**N**A ciemnoczerwonym, wyrazistym autoportrecie namalowanym w roku 1931 zamieścił Witkacy pod swoim podpisem notatkę: „Na wystawę pośmiertną w 1955 roku”. Z cudowną niemal dokładnością, przybrał we właściwy mu ton ironiczny, przeczuł swój pośmiertny sukces. W atmosferze ożywienia kulturalnego po październiku 1956 roku szybko „odkryto” dzieło Stanisława Ignacego Witkiewicza, choć przedmiotem tego odkrycia było raczej nie malarstwo, którym wprawdzie zajmował się przez całe życie, zarabiając również malowaniem portretów, w młodości zaś uważał się wyłącznie za malarza, lecz co znamienne — dramaturgia, mało ceniona, niewiele wystawiana i nierozumiana należycie za życia pisarza. To przecież ta dziedzina twórczości była przedmiotem ostrych ataków Irzykowskiego (choć bardzo cenił powieści) i wielu innych mniej znaczących krytyków. Jedynie Boy-Zelenski dawał często wyraz swoim zachwytom dla nowoczesnej formy witkacowskiego dramatu, ale i on właściwie nie bardzo rozumiał twórczość autora „Szewców”. Zresztą jeszcze długo potem nie rozumiano i nie znano w zasadzie Witkacego.

W połowie lat pięćdziesiątych Witold Gombrowicz pisał: „Być może Witkacy był »tragicznym pajacem«, być może był ekscentrykiem, na pewno był osobowością niebanalną. Nie zmienia to faktu, że przez szereg lat opowiadaniem biograficznych anegdot starano się zapelnąć lukę, wynikłą z braku rzetelnego zrozumienia jego twórczości”. („Dziennik 1953 — 1956”).

Wydane u progu lat sześćdziesiątych „Dramaty”, zebrane i opracowane przez Konstantego Puzynę, sprawiły poniekąd, że Witkiewicz szybko stał się „klasykiem” i zaczął być modny, choć nie znajomość jego dzieł to sprawa, lecz legenda. Oficjalna, „uczona” wiedza o Witkacym funkcjonuje przecie zupełnie od niedawna. Za życia i potem jeszcze wiele lat po II wojnie znany był jedynie jako „ten wariat Witkacy z Krupówek” — jak sam siebie nazywał. Legendę o Witkacym, które poprzedziły oficjalną kanonizację, było wiele. W 1958 roku Kazimierz Wyka wyróżnił ich trzy: legendę osobowości, legendę filozoficzności i legendę katastrofizmu. Ta ostatnia okazała się najważniejsza, powstała w ostatecznym kształcie już po śmierci pisarza, w czasie II wojny, zapoczątkowana przez Miłosza, którego poraziła niezwykle przenikliwość i proroczość fantastycznych pozornie pomysłów i wizji Witkacego (szkie o Witkacym — „Granie sztuki”).

Najmocniej jednak i najbardziej niekorzystnie zaciążyła nad odczytaniem dzieł Witkiewicza legenda osobowości. Wspomnienia o Witkacym dają możliwość zrekonstruowania postaci niezwykle barwnej, otoczonej aurą towarzyskiego skandalu, bohatera licznych anegdot budowanych zwłaszcza wokół jego związku z wielką aktorką Ireną Solską i praktyk z narkotykami. Jawi się Witkacy w tej legendzie w wielu wymiarach, jako człowiek pełen wigoru, energii i dociwpu, wszechstronnie utalentowany, niemal renesansowy, ale także jako dziwak, błazen, maniak, osobnik niepoczytalny i dyktant zarówno w sztuce, jak i w filozofii. O ile ta legenda obniżała znacznie rangę osoby i twórczości Witkiewicza, sprowadzając wszystko do wymiarów towarzyskiego ekscesu, o tyle trzecia wreszcie, legenda filozoficzności, podnosiła niejako opinię pisarza. Zresztą filozofię Witkacego decydująco najwcześniej: jeszcze za życia artysty stała się przedmiotem zainteresowania Kotarbińskiego i Tatarkiewicza, który teorię Czystej Formy uczynił przedmiotem rozważań na uniwersyteckim seminarium z estetyki.

W każdej legendzie istnieją jakieś ziarna prawdy. Ale Witkacego oglądano bardzo długo wyłącznie poprzez legendy i to pozbawiało go wciąż statusu znaczącego artysty, nie chciano go wciąż traktować poważnie. Decydujący zwrot w recepcji Witkacego nastąpił w latach sześćdziesiątych, ale to właściwie w zakresie dramatu i po trosze powieści Witkiewicza został uznany za najwybitniejsze zjawisko w dramaturgii polskiej od czasów Wyspiańskiego. Poczęły zatem narastać sterty prac magisterskich, rozpraw doktorskich, artykułów, esejów, szkiców, opracowań, przyczynków rozmaitej jakości i wartości, poświęconych Wit-

kiewiczowi. Część z nich na pewno znacznie posunęła wiedzę o twórczości autora „Nienasyceń”. Trzeba tu od razu zaznaczyć, że w jakimś sensie ważniejsze wydają się i są chyba jednak ciekawsze badania nad Witkacym prowadzone poza Polską. Zresztą pierwszą rozprawą podejmującą całościowe, syntetyczne spojrzenie na jego twórczość jest książka amerykańskiego sla-

w 1969 roku pisał Konstanty Puzyna: „Spektakle syją się jak groch, ale przeważnie są przerażająco bezmyślne i puste. Jakby właśnie teatr jeszcze nie mógł się wyrwać z atmosfery kawiarnianych legend”.

Po wojnie odbyło się ponad sto czterdzięci premier dramatów Witkacego. Inscenizatorów fascynowała przede wszystkim historiozofia dramati-

no — „dziwactwem i nieprawomyślnością”.

Nie ma tu zresztą potrzeby przypominania kariery scenicznej poszczególnych dramatów. Bardziej interesujący wydaje się problem ogólny, dlaczego właśnie dramaty Stanisława Ignacego Witkiewicza są wciąż obecne w teatrze, choć ciągle w nie najlepszych realizacjach? Nie jest bowiem prawdą, że twórczość ta budzi wielkie zainteresowanie publiczności a jeżeli nawet, to nie idzie ono raczej we właściwym kierunku. Najczęściej bywa jednak zupełnie nierozumiana, co wynika w dużej mierze i „z kabaretowych pomysłów reżyserów”, ale także z powodu drażliwych braków w powszechnym wykształceniu. Jednakże z powodu niemałego zasobu bliskiego naszej współczesności sztafetu pojęć politycznych stanowi Witkacy najdoskonalszy materiał dla teatrów „politykujących”. Nie ma chyba potrzeby tego ukrywać, że o wchodzeniu Witkacego na sceny stanowiła najczęściej pewna „polityczna zastępczość”, ponadto teatralną recepcję Witkiewicza znamionują jeszcze dwa wspomniane już zjawiska: brak profesjonalizmu w teatrze i kryzys edukacji w społeczeństwie.

Obecność osoby i dzieła Witkiewicza w teatrze, choć w tej dziedzinie najwięcej się spodziewano, wygląda w zasadzie nijako, zwłaszcza gdy spróbujemy poczynić jakiegokolwiek porównania (choć nie bardzo mają takowe sens) z recepcją krytyczną, badawczą. Wystarczyłoby tu przywołać rozprawy i wyniki badań Deglera, Błonskiego, teksty Puzyny, Szpakowskiej, nie wypada jednak cytować najtrafniejszych choćby spostrzeżeń tych badaczy, wszak prace ich są — wprawdzie nie powszechnie — ale dostępne. Imponująca wydaje się poza tym recepcja translatorska — tłumaczenia, szczególnie dramatów, ale i pism estetycznych także, na szesnastu językach.

Wreszcie trzeba odnotować rzecz, która jest w zasadzie najważniejsza i decydująca dla znajomości pisarza: wydano w Polsce wszystkie odnalezione dotychczas dzieła Witkacego, część jest w przygotowaniu edytorskim (listy), stało się to wszystko w ciągu ponad czterdziestu lat od śmierci pisarza, co na polskie zwyczaje edytorskie i wydawnicze należy uznać za przedsięwzięcie wykonane szybko! Wybory dramatów ukazywały się dotąd nawet kilkakrotnie. Mniej szczęścia u wydawców (z rozmaitych powodów!) miały powieści i pisma estetyczne i filozoficzne, zresztą te ostatnie budzą obecnie niewielkie już zainteresowanie.

Stało się wreszcie to za czym Witkacy nigdy nie tęsknił, czego się nawet bał i czym w zasadzie pogardzał: trafił do masowego odbiorcy. Dramat „W małym dworku” znalazł się w programie szkolnych lektur. Zagoscił Witkacy w telewizji, radiu, popularnej piosence (musical „Szalona lokomotywa”), a przecież był artystą wyjątkowo porażonym wizją nadejścia kultury masowej. Ale jedynie za sprawą kultury masowej mógł zaistnieć w powszechnej świadomości. Jakoś w końcu zaistniał, choć właściwie kaleko i ułomnie, nie jako jeden z najciekawszych umysłów dwudziestolecia i najwybitniejszy dramaturg tego okresu, ale raczej jako ten dziwaczny malarz, pisarz i filozof, którego dzieła czytują się (jeżeli w ogóle) i ogląda w teatrze dla zabawnych historii językowych, uduziwionego świata bohaterów, a przede wszystkim z powodu rozmaitych tez i pojęć na temat władzy, rewolucji... A przecież dzieło Witkacego zasługuje na zupełnie poważne traktowanie i nie powinno pozostawać wciąż „na przeleczach bezsensu”. Za granicą nie jest Witkiewicz znany powszechnie, pozostał obiektem fascynacji w kregach intelektualistów i to chyba dobrze. Nie dotknęło go tam bowiem zjawisko trywializacji. To bardzo ważne, bo całe jego życie wypełnione było przecież ściganiem „dziwności istnienia”. Sztuka i filozofia były dla Witkacego wartościami absolutnymi, poświęcił im wszystko, najdosłowniej życie, bo popelniał samobójstwo kiedy wydawało mu się, że istnienie tych wartości zostało uniemożliwione przez historię, straciło istotę ważności w obliczu nadejdującej epoki zagłady którą on — darem profetyzmu — wieścił na wiele lat przedtem.

## WITKACY „w ogrodach barbarzyńców”

Lidia Wójcik



Stanisław Ignacy Witkiewicz. Rysunek Bronisława W. Linkego. Repr. Arkadiusz Karoń

wisty, profesora waszyngtońskiego uniwersytetu, Daniela Geroulda. Jego dorobek w tym zakresie wydaje się najbardziej cenny, ale i w wielu innych krajach także prowadzone są poważne badania nad dziełem Witkiewicza. W Szwajcarii ukazuje się periodyk poświęcony wyłącznie Witkacemu, co pewien czas odbywają się w różnych krajach międzynarodowe sesje witkacowskie. Teatry wystawiają stale jego sztuki. Wreszcie w setną rocznicę urodzin pisarza UNESCO oślasza międzynarodowy Rok Witkacowski. Oczywiście wszystkie te poklony i holdy składane w świecie autorowi „Matki” mają miejsce wyłącznie w kregach uniwersyteckich, wśród elity intelektualnej, ale to przecie niezwykle ważne. Iluż w końcu polskich pisarzy doczekało się międzynarodowego zainteresowania?

Do niedawna także i w Polsce pozostawał Witkacy artystą znanym elitarnie, w powszechnej świadomości w zasadzie nie istniał. Badania posuwały wprawdzie stale wiedzę o Witkacym, ale nie przynosiło to rozpowszechnienia i znajomości jego artystycznego dorobku. Oczywiście nie badania naukowe, ale raczej teatr „miał się zająć” w Polsce sprawą „zadomowienia się” Witkacego w kulturze narodowej. I od strony formalnej nawet tak się stało. Witkiewicz jest obecnie jednym z najczęściej grywanych naszych autorów. Liczby przedstawień nie są jednak zjawiskiem skłaniającym do jakiegokolwiek optymistycznych uogólnień. Już

sarza i — to co pierwszy zauważył Miłosz — pytania Witkacego o miejsce jednostki w społeczeństwie przyszłości. Fascynacja nie była jednak związana z umiejętnością scenicznej realizacji Witkacego, „dziwną” dramaturgię realizowano najczęściej w oparciu o „zasadę zwielokrotnionej dziwności”. Pierwsze przedstawienia Witkacego („Mątwą”, „Kurka wodna”) zachłytywały się możliwościami plastycznymi i inscenizacyjnymi, stawiano na plastyczną dziwność, osobliwość wyobraźni, swobodę skojarzeń (Kantor, Szajna). Przedstawienia najczęściej zmierzają do parodii, persyflaży, aluzji politycznej. Teatr nie umiał pokazać tego, co najbardziej istotne, co pokazać należało, jak myśl Witkacego styka się ze współczesnością. Nie potrafił zbudować Witkacemu własnego świata scenicznego, osobliwego i jedynego w swoim rodzaju. Może jedynie Jerzy Jarocki zdołał odkryć na scenie rzeczywiste wartości myślowe i artystyczne sztuk, wyprowadzając koncepcje swoich przedstawień z Witkiewiczowskich urojeń, lęków i zachwyceń.

Spośród ponad trzydziestu dramatów Witkacego (nie wszystkie, oczywiście, zostały wydane, ponad dziesięć dramatów dotychczas nie odnaleziono) najwięcej chyba szczęścia w teatralnych realizacjach zdarzyło się ostatniemu dramatu, napisanemu w 1934 roku — „Szewcom”, chociaż trafił on na scenę zawodową dopiero w 1970 roku, po wielu trudnościach powodowanych — jak to często argumentowa-



# TU JEST POLSKA

Ciąg dalszy ze str. 1

Gminy Welnowiec, w referacie do spraw... bezrobotnych! Stało się tak za sprawą mojej matki, a po prawdzie dzięki protekcji jej dobrej znajomej, Elżbiety Korfantowej, żony Wojciecha, dyktatora III Powstania Śląskiego.

Tymczasem zbliżył się rok 1939, a z nim i wojna. Każdy dzień potęgował napięcie nerwowe. Niemcy stawiali się coraz bardziej butni, nie kryjąc wcale swej wrogości do Polaków, głośno hańbiąc na ulicach. My rozpiepiamy na murach plakaty z podobizną Rydza-Śmigłego, głoszące, że „jesteśmy silni, zważy i gotowi”, a Niemcy urządzają pod płaszczykiem zlotów terenowe ćwiczenia wojskowe. My kopujemy rowy przeciwbombowe, a Niemcy sporządzają listy stanowisk, które obsadza oraz listy proskrypcyjne Polaków, których trzeba zlikwidować. Nam Obrona Przeciwbombowa rozdaje maski przeciwgazowe, a naslannicy z głębi Rzeszy, prowokatorzy, rozdają miejscowym Niemcom broń... My słuchamy pogadarek instruktorów z Przysposobienia Wojskowego, którzy mówią, że damy Niemcom w dupę, bo mają czołgi z tektury...

Atmosfera sierpniowych dni pamiętnego 1939 roku była ciężka, pełna niepokoju i napiętego oczekiwania. Gazety wprowadziły przynosiły codziennie uspokajające informacje o stosunkach z Niemcami i sytuacji międzynarodowej, nikt już jednak gazetom nie wierzył. Jak nigdy, bo jeszcze 20 sierpnia, wypłacono nam pobory. Dostałem wynagrodzenie za trzy miesiące naprzód. Sześć powiedział mi, że to tak, „na wszelki wypadek”. Zrozumiałem go dobrze.

I nadszedł tragiczny dzień, 1 września 1939 roku: Niemcy napadli na Polskę. Podobnie jak wielu innych, wcielony zostałem do wojska. Nasza piątka, to jest: Leon i Henryk Wittek, Walter Seifert, mój brat Włodek i ja, znalazła się w Kieleckiem, w powiecie stopnickim. W czasie przeprawy Łódką przez Wisłę zostaliśmy ostrzelani z karabinów maszynowych pod Osiekami i tu zginął mój serdeczny przyjaciel z ławy szkolnej, Heniek Wittek. Po jednej i po drugiej stronie rzeki płonęły wsie; dywersanci z piątej kolumny dotarli już tutaj. Na drogach pełno naszych żołnierzy, idących w rozsypane, czasami już bez broni.

## „Wolność” w hitlerowskim wydaniu

NIEMIECKA żandarmeria połowa przeczesywała lasy, w którym odpoczywaliśmy, i tak dostaliśmy się, jako „kriegsgefangene”, do niewoli. Samochodami ciężarowymi odwieziono nas do tymczasowego obozu jenieckiego w Rytwianach, a potem przetransportowano do Katowic. Ale to nie było już to miasto, które opuściliśmy. Wróciliśmy do wrogiemu nam „Stadt Kattowitz” — tonącego w powodzi swastyki i hitlerowskich sztandarów. Uformowano nas w kolumny; po obydwóch stronach gęsta obstawa żołnierzy Wehrmachtu z pistoletami gotowymi do strzału, na czele wojskowa orkiestra. Prowadzili nas znanymi i bliskimi do niedawna, a teraz obcymi i wrogimi ulicami do parku Kościuszki, potem siloczyli w ujędźalni, gdzie poprzednio ćwiczyła katowicka rezerwa policji konnej. Mrowiło się tu od oficerów Wehrmachtu i SS. Opasły pułkownik wygłosił do nas pełną patosu mowę o wielkośmieszności Trzeciej Rzeszy, która, ceniąc żołnierski honor, daruje nam, Ślązakom, wolność...

Z papierkiem „gwarantującym wolność” w ręku idziemy z Władkiem w kierunku domu. Ledwo zdążyliśmy uściskać ojca, ledwo zdążyłem włożyć odparzone stopy do miednicy z ciepłą wodą, gdy w raptownie otwartych

drzwiach mieszkania stało czterech rosłych drabów w skórzanych płaszczach, z rewolwerami w ręku „Hände hoch!” — wrzasnął któryś. Podnieśliśmy ręce do góry. Ojciec stał blady jak ściana. Pchnięty lufą rewolweru, bez pożegnania z ojcem, boso, z rękami na karku — na długo wyszedłem z rodzinnego domu. Było to 26 września 1939 r.

Popędzono nas przez ulice miasta do więzienia. Po drodze pełno gawiedzi, wśród której są niedawni koledzy — dziś pluja na nas i rzucają kamieniami. W celi więziennej regularne bicie pejcem przez wachmeistra.

7 października wyprowadzają nas na plac więzienny: ponad dwa tysiące mężczyzn i młodzieży; wielu ma na sobie żołnierskie mundury. Formują kolumny i prowadzą w kierunku dworca, tam włączają do wagonów towarowych, których okienka zabezpieczono drutem kolczastym. Jedziemy, nie wiedząc dokąd... Stacja Rawicz. Rozumiemy teraz wszystko, tu znajduje się przecież słynne ciężkie więzienie. Ładują nas do samochodów policyjnych. W czasie drogi musimy trzymać głowy między kolanami, ręce założone na kark. Eskorta za najmniejszy ruch głową bije kolbami. Dostajemy się do jednej celi razem z powstańcami śląskimi: Komandera z Giszowca i Chrostkiem z Janowa Śląskiego. Siedzi również z nami młody Hering z Giszowca, członek Oddziału Młodzieży Powstańczej.

W czasie jednego ze spacerów zobaczyłem w poruszającym się szeregu Romana Szuwalda oraz znajomych z Welnowca: Pawła Howelika i Karola Morgałę. Wszyscy brali udział w powstaniach śląskich.

Z Rawicza wywożą nas do Buchenwaldu. Nikt z nas nie orientował się, co to jest Buchenwald. Komandera tylko coś wiedział i słyszał o hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Musiało to być coś strasznego, skoro zahartowani trudami życia powstańcy śląski zapłakali...

Już słońce zachodziło, gdy zagrzętały hamulce pociągu. Czyżby już koniec naszej drogi? Otwierają się z trzaskiem drzwi wagonu: odurza nas fala świeżego powietrza, paraliżuje — piekielny wrzask wściekłych esesmanów z psami. Ludzie biją, psy gryzą. Wyrzucają nas z wagonu kopniakami, tłukąc karabinami gdzie popadło. Nieopisany ryk bitych więźniów miesza się z przekleństwami esesów i ujadaniem tresowanych psów. To było piekło...

Formują nas w długie kolumny. Na przedzie wóz wojskowy uzbrojony w karabiny maszynowe, z lufami skierowanymi na czoło kolumny; po bokach gęsta obstawa SS z karabinami gotowymi do strzału. Stacja nosi nazwę Weimar. Tak, to ukochany Weimar Goethego. Włoką nas przez to miasto, pełne dziś nienawiści. Na ulicach tłumy, przeważnie kobiet, grożą nam pięściami, ryk: histerycznie: „Polnische Banditen, polnische Schweine, polnische Heckenschleser...” Biegniemy około siedmiu kilometrów na szczyt wzgórza Eitersberg, gdzie czeka na nas otwarta brama obozu koncentracyjnego Buchenwald. „Jedem das Seine” — głosi napis na bramie kacetu. Na długie lata miałem w nim pozostać.

Tragiczne były to czasy. Tu straciło się na zawsze swoich bliskich, serdecznych kolegów... Tu straciłem wujka Romana, tu patrzyłem na śmierć Jana Bauera z Siemianowic, który zgnany głodem rzucił się na druty okalające obóz, będące zawsze pod wysokim napięciem, tu rozstałem się już na zawsze z jedynym moim bratem, Władkiem... Tutaj także poznałem ludzką przyjaźń i koleżeństwo, które wielokrotnie pozwoliły mi cudem wprost uniknąć śmierci.

Pod koniec marca 1943 r. pisarz kancelarii obozowej, więzień Józef Kwietniewski, znany działacz Związku Harcerstwa Polskiego w Niemczech, uwięziony w Buchenwaldzie wraz z grupą działaczy polonijnych, zawiadomił mnie, że jestem na liście transportu do KL Ravensbrück. Wiadomość tę przyjąłem z całkowitą rezygnacją. Buchenwald wydawał się piekłem na ziemi, a mimo

to bałem się — i nie tylko ja — transferu do innych obozów.

I tak przekroczyłem bramę obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Na bramie napis: „Arbeit macht frei”. Zamieniono mi numer 3862 na 3356. To tak jak zmiana nazwiska. Odtąd byłem Schutzhaftlingem numer 3356...

A wydarzenia na froncie zbliżają nas do wolności. 27 kwietnia 1945 r. komendant obozu Baer wydaje rozkaz ewakuacji ostatniego już obozu koncentracyjnego w konającej Trzeciej Rzeszy Hitlera.

## Zostajemy w Gryfinie

3 MAJA 1945 r. przyszła długo oczekiwana WOLNOŚĆ! 6 czerwca przez prowizoryczne przeprawy na Odrze i Regalicy, na wysokości Gryfina, wraz z trzydziestopięciopięciopięcioletnią grupą Polaków, byłych więźniów politycznych Buchenwaldu i Ravensbrück, podążyłem z zachodu na wschód, do ojczyzny.

Beznamiętnie patrzyliśmy na pow szechnie w tamtych czasach pejzaż: na skręcone konwulsyjnie przesła mostów, spalony dworzec kolejowy, ratusz, budynek teatru, na całą panoramę zgruchotanego w 80 procentach miasta, zwanego Greifenhagen — i w pewnej chwili ogarnęło nas wzruszenie, ścisnącące gardło i drażniące powieki niemieckim śwędzeniem: na Bramie Bańskiej, wysoko, łopocze biało-czerwona flaga. Te ruiny to Polska!

— Tu jest Polska!!! — krzyczymy radośnie.

— Tu zostajemy — decyduje cała trzydziestka.

Przy ulicy Chrobrego, w budynku obok dzisiejszego Sądu Rejonowego, odręcznie wykonana tablica informuje, iż urządza tu miejski komendant Milicji Obywatelskiej miasta Gryfina. Komendantem jest kapral o nazwisku Cieloch, człowiek działający szybko i zdecydowanie. Z tego budynku większość wędrowców z zachodu wychodzi już, jako polska władza. Część zostaje karabiny i milicyjne opaski. Kolega z kacetu, Wojciech Stanisławski, otrzymuje nominację na sołtysa w Widuchowej, Lech Olszak obejmuje wójtostwo w Kobylance, Józef Kwietniewski zostaje sołtysiem w Krzywiniu, mnie zaś Cieloch mianował zastępcą pełnomocnika rządu na obwód Gryfina. Decyzja kaprała została w niedługim czasie usankcjonowana oficjalnie. W sierpniu 1945 r. otrzymałem z rąk Pełnomocnika Rządu na Okręg Pomorza Zachodniego, płk. Leonarda Borkowicza, urzędową nominację.

W ten sposób włączony zostałem w bezpośredni wir problemów organizacyjnych, gospodarczych i społecznych. A było ich niemało. Należało opracować plan poczynań powiatu na gminy, obsadzić wójtostwa i sołectwa, pokierować akcją repolonizacyjną, czuwać nad przebiegiem osadnictwa, a przede wszystkim pierwszą kampanią żniwną. Pełnomocnik rządu na obwód gryfiński, Jan Daszyński, po prostu się troił, aby sprostać nielatwym zadaniom. Dzieliliśmy między sobą obowiązki, ale i tak obydwa mieliśmy pełne ręce roboty. Trzeba było stworzyć warunki do normalnej pracy administracji powiatowej i gminnej. A tu kłopoty z kadrami.

Wspólnie z inspektorem Wydziału Samorządowego, Władysławem Wodzisławskim — również byłym więźniem politycznym hitlerowskich obozów koncentracyjnych — wzięliśmy się do roboty. Sięgnęliśmy po wartościowych ludzi, którzy w haeflingowskich pasiakach przekroczyli Odrę. W stosunkowo krótkim czasie mianowani wójtowie i sołtysi objęli urządowanie, wykazując duże zdolności organizacyjne oraz poważny zasób energii i inicjatywy w pracy. Janowi Balcerzakowi powierzyliśmy burmistrzostwo miasta Sta-

ry Dąb (obecnie Szczecin-Dąbie), Wojciechowi Stanisławskiemu — sołectwo w Widuchowej, a później wójtostwo w Czanowie (dziś Szczecin-Zdroje), Antoniemu Jezińskiemu — w Borzymiu, Lechowi Olszakowi — w Kobylance, Stefanowi Percowi — w Śmierdnicy, Cezaremu Pobożemu — w Dzikim Lesie (obecnie Swobnica), Jerzemu Klimczakowi — wójtostwo w Zurawiu.

Również i sołectwa obsadziliśmy do brymi gospodarzami. Szczególnie tkwimi w pamięci niezmiernie społecznik Józef Kwietniewski, sołtys Krzywina, oraz niestrudzony organizator Wojciech Stanisławski. W miarę napływu nowych osadników zasilaliśmy nimi jednostki gospodarcze i administracyjne.

Coraz bardziej poprawiała się kadra Obwodowego, Urzędu Pełnomocnika Rządu — późniejszego Starostwa. Warto wspomnieć, że w latach 1945—1948 Urząd Pełnomocnika Rządu RP na Obwód Gryfiński zatrudniał czteremastu pracowników z wyższym wykształceniem, w tym czterech prawników oraz sześciu inżynierów.

Ciężki był rok 1945. Zdevastowane przez wojnę i opuszczone przez uchodzących Niemców gospodarstwa przedstawiały żalony obraz. Maszyny rolnicze stanowiły bezużyteczne wraki nie nadające się do użytku. Były świadmie niszczone przez ichodzących bauerów. Na obszarze 396 km kw., przy niespełna trzech tysiącach ludności zamieszkującej powiat, musieliśmy przeprowadzić na tej ziemi pierwsze polskie żniwa. To było zadanie najpilniejsze. Z różnego rodzaju „szmelcu” klecono fraktory, które nie najgorzej pracowały. Osadnicy, mieszkający powiatu, nie żalowali wtedy trudu swych rąk, pracując od świtu do nocy, odżywiając się głównie kartoflami, wiśniami i chlebem ze stęchłej maki. Ale nikt nie narzekał. Chodziło bowiem o każde ziarno zboża. To była prawdziwa bitwa o chleb.

W tej pokojowej bitwie poważną rolę odegrali żołnierze. Nie spoczęli oni po trudach wojennej tułaczki; karabiny zamienili na kosy, pracując ramie przy ramieniu z ludnością cywilną przy sprzącie pól. Pierwsi osadnicy ziemi gryfińskiej jeszcze dziś pamiętają dziarskich chłopców z batalionu kapitana Kąckiego, z kompanii porucznika Karnkowskiego, porucznika Kordusa czy porucznika Jaroszewicza, którzy uwijałi się po udanych łanach zbóż. Nie zapomnę chyba nigdy 15 sierpnia 1945 roku. Z prawdziwym wzruszeniem przyjąłem raport zastępcy dowódcy batalionu do spraw polityczno-wychowawczych, porucznika Gereona Grzeni-Romanowskiego, meldującego władzom powiatu o wykonaniu zadania: „Batalion kapitana Kąckiego melduje o wykonaniu zadania na froncie bitwy o chleb. Skosiliśmy zboże z 282 hektarów, zarobiliśmy pod nowy siew 56 hektarów ziemi. Zwyciężyliśmy wroga w boju, pokonamy trudności w odbudowie kraju”.

Nie lepiej od miasta powiatowego wyglądały w 1945 r. gminy i wioski. Była przecież jedna taka, dla której wojna okazała się łaskawsza. Położona o sześć kilometrów od gminy Banie, Nowa Wieś (dziś Piaseczno) mogła każdego wprowadzić w zdumienie. Zabudowania ciągnęły się tam na przestrzeni około dwóch kilometrów; budynki mieszkalne nie zniszczone, obszerne stodoły, stajnie i obory. Nowa Wieś dostała się w ręce dobrych gospodarzy. Sołtys Bera i jego zastępca Grambusz pokazali, jak należy dbać o swoje gospodarstwo. W ich obejściach zawsze było czysto, ład i porządek. Już w sierpniu 1945 r. miejscowość liczyła 500 osadników.

Szybki proces zaludniania ziemi gryfińskiej był całkowicie zrozumiały. Jeśli się zważy, że na 31 grudnia 1945 r. było do obsadzenia 1310 gospodarstw do 20 hektarów, 2529 gospodarstw o powierzchni 20—50 hektarów i 64 gospodarstwa 50—100 hektarowe, z tego przeszło 200 nie zdevastowanych i 300 lekko uszkodzonych. Istniały więc możliwości zapewnienia egzystencji pracowitym ludem.

Przeprowadzony w powiecie 14 lutego 1946 r. powszechny sumaryczny spis ludności cywilnej, którego byłem komisarzem, połączony z uzupełniającym spisem roczników 1927—1946 dla potrzeb administracji szkolnej na Ziemniach Odzyskanych wykazał, że powiat gryfiński zamieszkiwało ponad 12 tysięcy osób. Ludziom tym trzeba było stworzyć możliwie szybkie warunki do życia, a więc zorganizować szkoły, ur-



chamiać zakłady pracy, tworzyć placówki handlowe, kulturalne i społeczne.

## Mamy liceum

**W** SRÓD mniejszych i dużych osiągnięć tamtych lat do ważniejszych należy zaliczyć otwarcie liceum ogólnokształcącego w Gryfinie. Pomyśleć, że właśnie tu powstała jedna z pierwszych w województwie szczecińskim szkoła licealna! A było to tak:

W lipcu 1945 r. w zastępstwie starosty Daszyńskiego przyjąłem niezwykle skromnego i nieśmiałego przedstawiciela Kuratorium w Koszalinie, Henryka Kańskiego. Przyjechał on z zadaniem zorganizowania w naszym mieście szkoły średniej. Wręczył mi pismo kuratora Stanisława Helsztyńskiego. Byłem tym wyraźnie zaskoczony:

— Człowieku, i chce pan w tych warunkach naprawdę zorganizować nam szkołę? A skąd weźmiemy nauczycieli? — Znajdę ludzi na miejscu — wyjaśnił Kański.

Jak powiedział, tak zrobił. Gdy tylko po Gryfinie rozeszła się wiadomość, że będzie organizowane gimnazjum, zaczęli się zgłaszać do Starostwa kandydaci na „profesorów”. Pierwszy przyszedł Władysław Malinowski. Studiował w Warszawskiej Wolnej Wszechnicy; w czasie okupacji został wywieziony na roboty przymusowe właśnie tu, nad Odrę. Przyjąłem go na rozmowę w towarzystwie dyrektora Kańskiego.

— Ja jestem prawie autochtonem — przedstawił się Malinowski — przez parę lat odstawałem w Gryfinie grabarza...

— Cooo? — Grabarza, panie starosto. Chowałem tutejszych obywateli, nie wyłączając NSDAP-owskich szyszek. Można powiedzieć, że tymi oto rękami kopalem grób Trzeciej Rzeszy.

— A co kolega mógłby wyklądać? — Historię, literaturę, znana nieco angielski...

Zycie pokazało, że Malinowski jest dobrym organizatorem i zdolnym pedagogiem; nigdy nie obrażał się, gdy nazywano go „Szekspirem Gryfina”.

Przyszła też Stanisława Siarkiewicz, polonistka, młoda, dziewczęca, z rozwichrzoną czupryną i rumieńcami na twarzy. Dyrektor Kański zwerbował jeszcze Edwarda Chudzińskiego, matematyka i fizyka, który wracając z obozu koncentracyjnego „zarzucił kotwicę” w Gryfinie. Zgłosili się ponadto Maria Kulisiewicz, Stanisław Dąbrowski i inni.

Henryk Kański dopiął swego. 14 września 1945 r. na inaugurację roku szkolnego przybyło kilkanaście osób, w dwanaście miesięcy później goście nie mogli się pomieścić w obszernej auli. Dyrektor Kański wpisał pierwsze nazwisko na listę uczniów: Irena Pasławska, a obok zaznaczył: do II licealnej.

Szkoła ogólnokształcąca w Gryfinie rok 1945/1946 zamknęła bilansem: ośmiu nauczycieli, 180 uczniów, cztery klasy gimnazjum i dwie klasy liceum; mury szkoły ze świadectwem dojrzałości opuściło dziewięć osób, między innymi burmistrz Gryfina, Ignacy Rusik. Była to pierwsza polska matura na ziemi szczecińskiej. W latach 1945—1961 te szkoły wyszły z dyplomami dojrzałości 272 uczniów. Wielu z nich poukończyło studia wyższe, zubożając zawód inżyniera, lekarza, ekonomisty, nauczyciela. Irena Pasławska została agronomem, Mielimąka ukończył Instytut Pedagogiki Specjalnej, Seniuta ukończył wyższe studia w Związku Radzieckim, Jerzy Puchalski i Tadeusz Sprzączko zostali lekarzami, zaś Maciej Gałazkiewicz — „Gryfin” jest dziś wziętym dziennikarzem... To najcenniejsza nagroda za nasz pionierski trud w latach 1945—1946.

Nauczyciele chętnie podejmowali się również nauki dorosłych na kursach wieczorowych. Duże zasługi na tym polu położyli pedagodzy z Podjuch (dzisiejsza dzielnica Szczecina): Buchta-larz, Kachelki oraz nauczycielki Ciechomska i Salamon. Nauka odbywała się w trudnych warunkach. Klasę ogrzewał żelazny piecyk, z którego dłu-ga blaszana rura wychodziła przez okno na zewnątrz i dymiała jak stary, roz-skokotany parowóz. Oświetlenie stanowiły świece, bo karbidówka była wtedy luksusem. Pani Ciechomska upadała ze zmęczenia, znajdowała jednak zawsze tyle sił, by prowadzić jeszcze lekcje dokształcające dla milicjantów z posterunku MO w Podjuchach. Trzeba było widzieć tę wątłą, starszą kobietę, gdy z kredą w ręku stała przy tablicy i tłumaczyła tajniki matematyki i zawitości ulamków wielkim dryblasom, pilnie słuchającym i notującym w swych szpargałach.

Z inicjatywy mojej oraz dyrektora Bernarda Woźniaka w czerwcu 1946 r. przy odbudowującej się Fabryce Sztucznego Jedwabiu (dzisiejszy Chemitex-Wiskord) w Zydowcach powstał też kurs oświatowy dla robotników, z założeniem uzupełnienia wiadomości w zakresie siedmiu klas szkoły powszechnej. Nauka odbywała się wieczorami, na werandzie w poniemieckiej kawiarni. Ten początkowy kurs przeobraził się następnie w Uniwersytet Powszechny OM TUR, założony 2 stycznia 1948 r. i nauczający w trzech zespołach. Początkowo zapisało się nań ogółem 60 osób, ale liczba ta zwiększała się systematycznie, w miarę powiększania się załogi fabryki. Był wtedy duży pęd do nauki, szczególnie robotnicy garnęli się do szkół, wiedząc, że nauka przyniesie im awans społeczny. Wielu słuchaczy Uniwersytetu złożyło później egzamin z siedmiu klas przed komisją przy Inspektoracie Szkolnym w Gryfinie. Wielu z nich zdobywało stopień technika i pracuje w szczecińskim przemyśle...

## O wynagrodzenie nikt nie pytał

**P**RZYSTĄPIŁIMY do odbudowy bardzo zdewastowanej Fabryki Suchoj Destylacji Drewna w Gryfinie. Inżynierowie: Beno Arndt, Jan

tolerowaliśmy ten stan, myśląc jednak o stworzeniu podstaw do działalności handlu uspołecznionego. Czyniliśmy starania, aby utworzyć placówkę spółdzielczą. Nie przychodziło nam to łatwo.

Spółdzielczość nie miała tutaj tradycji. Trzeba było wszystko zaczynać od podstaw. Brakowało fachowców, pieniędzy, towaru, dawały się dotkliwie we znaki trudności komunikacyjne. A mimo to jedną z pierwszych spółdzielni hodowlanych w województwie szczecińskim w 1945 roku okazała się — obok PSS „Robotnik” w Szczecinie — Powiatowa Spółdzielnia Spożywców w Gryfinie. Jednocześnie otwarto pierwszy spółdzielczy sklep spożywczy przy ul. Chrobrego 21. 12 listopada 1945 r. Sąd Okręgowy w Szczecinie wpisał naszą spółdzielnię do rejestru handlowego pod numerem S-105. Jej zarząd stanowili: Bolesław Chmura, Ignacy Rusik oraz Zygmunt Osiecki. Ciekawy to był zespół, tak samo — patrząc z perspektywy dnia dzisiejszego — niecodzienny był ten pierwszy sklep, prowadzony przez spółdzielnię. Członkowie zarządu pracowali zawodowo w administracji państwowej, a swoje obowiązki w spółdzielni spełniali społecznie. O wynagrodzenie nikt wtedy nie pytał. A sklep to była zupełna prowizorka, ledwo dostatecznie zabezpieczona. Towar na noc zabieraliśmy do domu. Wnętrze sklepu? Kto w tym czasie myślał o estetyce, życie dyktowało bar-

Już w październiku 1945 r. „Polonia” reprezentowała powiat gryfiński na I Dożynkach Ziemi Pomorsko-Zachodniej w Koszalinie, biorąc udział w turnieju piłkarskim. Młodsi zawodnicy z Gryfina: Zygmunt Sakowski, Jerzy Sprzączko, Henryk Weterle, Łopatka, Bechan i inni nieźle zamieszali na tej imprezie. Po pokonaniu reprezentacji Szczecina 1 : 0 oraz reprezentacji Starogardu 2 : 1, gryfinianie ulegli w finale reprezentacji Wojska Polskiego w stosunku 7 : 1. Jeszcze dziś grzmia mi w uszach fanfary wojskowej orkiestry, wiwatującej z okazji każdej strzelonej przez żołnierzy bramki. Mimo tak wysokiego lania byliśmy dumni z naszych chłopców. Bądź co bądź „Polonia” została pierwszym wicemistrzem Pomorza Zachodniego. A zawodnicy grali w czym, kto miał: w pstrokatych spodenkach, tylko nieliczni posiadali prawdziwe buty piłkarskie, pozostali — przeważnie wojskowe „komisery”. Jedynolite w tym turnieju były tylko koszulki i... herby Gryfina, nie wiadomo jakim cudem zdobyte przez samych zawodników. Tak więc bez państwowych dotacji, bez ciepłarnianych warunków oraz dmuchania i chuchania, jak to się dzieje obecnie, powstał jeden z pierwszych klubów sportowych w województwie szczecińskim, działający po dzień dzisiejszy.

## Dziennikarska przygoda

**W** LATACH 1951—1954 podjąłem się, poza pracą zawodową i społeczną, dodatkowej roboty społecznej w kolegium redakcyjnym gazetki powiatowej „Ziemia Gryfińska” oraz w kolegium redakcyjnym radiowego węzła powiatowego. Może nie zasługiwałoby to na uwagę we wspomnieniach, gdyby nie oczywisty fakt, że funkcje te dawały mi wiele osobistej satysfakcji, a cała działalność była rzeczywiście społecznie użyteczna. Obejmując przewodnictwo kolegium redakcyjnego radiowęzła powiatowego, czyłem przede wszystkim do tego, by program audycji nie był szablonowy, lecz żywo oddawał to wszystko, co się dzieje w powiecie. Udało mi się to w zupełności. Radiowęzeł był wysoko oceniany przez Szczecińską Rozgłośnię Polskiego Radia, która sprawowała funkcję opiekuna i doradcy gryfińskiej „rozgłośni powiatowej”. Nasze kolegium przez trzy lata z rządu zajmowało pierwsze miejsce w województwie za jakość i systematyczność nadawanych audycji lokalnych. Udało mi się wokół kolegium skupić młodych ludzi, z którymi systematycznie przeprowadzano szkolenie, a za dobrą pracę nagradzano. Największe osiągnięcia naszego radiowęzła przypadły na jesień 1953 roku, na okres wielkiej batalii o terminowe zakończenie siewów jesiennych i o stuprocentowe wykonanie przez wieś obowiązkowych dostaw dla państwa.

Ważnym uzupełnieniem i przedłużeniem pracy radiowęzła była gazeta powiatowa „Ziemia Gryfińska”, w której sprawowałem społecznie funkcję naczelnego redaktora. Pisaliśmy w niej o wydarzeniach w powiecie, sięgaliśmy również po artykuły publicystyczne. W swojej pracy redakcyjnej zawsze wyznawałem zasadę, że gazeta powiatowa to nie tylko informator, ale także mobilizator i wychowawca wsi. Ten wycinek pracy społecznej dał mi też sporo osobistej satysfakcji.

Zyje i pracuje na ziemi, na którą przed 40 laty przybyli ludzie dosłownie ze wszystkich krańców świata: przedwojenna emigracja zarobkowa z Niemiec, Francji, Belgii, żołnierze z oddziałów walczących pod Tobrukiem i Monte Cassino, reemigranci ze Związku Radzieckiego, Mandżurii, no i oczywiście — osadnicy z jakiej tylko obecnie części Polski. Tę ziemię można było przyrównać do olbrzymiego kotła fermentacyjnego, gdzie kipiał i pienił się zlepek najróżniejszych obywateli i nawyków, gęsto zakrapiany osadem długoletniej włościwości. Ludzi tych cechował życiowy optymizm i wiara w lepszą przyszłość. Właśnie za ten optymizm i przywiązanie pionierów-osadników z lat czterdziestych do swojej ziemi żywię do nich gorące uczucia.

Bolesław Chmura



Rys. Józef Tarłowski

Skoczyński i Aleksander Dowmanowicz wraz z ofiarną załogą doprowadzili dzieło do końca. 10 czerwca 1947 r. Zakłady Suchoj Destylacji Drewna podjęły normalną produkcję. Wyremontowano domki mieszkalne dla załogi, uruchomiono bibliotekę, otwarto świetlicę. Na pustce zrodziło się życie. Gospodarka narodowa zyskała tak potrzebny jej obiekt produkcyjny, wytwarzający rocznie: 960 ton surowego kwasu octowego 100-procentowego, 336 ton spirytusu drzewnego, 1000 ton smoły drzewnej oraz 6000 ton węgla drzewnego, wyrobu poszukiwanego na zagranicznych rynkach. Uruchomione zakłady w Gryfinie stanowiły poważną pozycję w realizacji Planu Trzyletniego.

Rozwój handlu był nierozdzielnie związany z procesem zaludnienia powiatu i miasta. W samym Gryfinie, a także i w powiecie, tuż po zakończeniu działań wojennych nie było ani jednego sklepu. Nieliczni mieszkańcy miasta w pierwszych miesiącach 1945 r. pożyli się w stołówce prowadzonej przez Wydział Aprowizacji Urzędu Obwodowego Pełnomocnika Rządu. Pierwszą placówkę handlową otworzył w Gryfinie poznański kupiec, Sylwester Eckert. Z biegiem czasu prywatna inicjatywa coraz śmielej instalowała swoje sklepiki. Bar „Kakaadu” przycupnął tuż koło gmachu Starostwa, opodal otworzyła swoje podwoje restauracja „Pod Altanką”, jakieś 600 metrów dalej bar „Pionier”. Pięć knajp na użytek około 700 mieszkańców — nieźle wówczas prosperowały! Z konieczności poddyktowanej warunkami i żywymi potrzebami

dziej doraźne potrzeby. Spółdzielnia rozwijała się jednak coraz lepiej. Remontowaliśmy pomieszczenia nadające się na placówki handlowe, „modernizowaliśmy” urządzenia sklepowe, zczynaliśmy rozwijać działalność społeczną i kulturalną. Wzrastало społeczne i gospodarcze znaczenie spółdzielni w mieście.

Nielatwe były także początki sportu. Działania wojenne nie oszczędziły obiektów sportowych: boisk, stadionów czy sal gimnastycznych. Stadion w Gryfinie zryty był okopami, schronami, pełen lejów bombowych, zaś jedyna w mieście sala gimnastyczna uległa kompletnej dewastacji. Oplakany stan obiektów sportowych nie przerażał jednak działaczy społecznych, którzy musieli zaspokoić potrzeby młodzieży, odczuwającej głód wyżycia się w sporcie. Już w lipcu 1945 r. niemal wszyscy — wprawdzie jeszcze wówczas nieliczni — mieszkańcy Gryfina wyszli z łopatami i kilofami na stadion, by pracować nad jego uporządkowaniem. Pracowali starzy i młodzi. Pracował starosta, a obok niego sekretarz PPR. Ten pierwszy, nie rejestrowany w historii miasta Gryfina, czyn społeczny wykonywany był ponad trzy miesiące. Z końcem września oddaliśmy boisko do użytku młodzieży... Z inicjatywy i przy pomocy powiatowych komitetów PPR i PPS (byłem wtedy przewodniczącym PK PPS) grupa działaczy młodzieżowych — między innymi Leszek Staniewski, Henryk Kondratowicz oraz Maciej Gałazkiewicz — zorganizowała Klub Sportowy „Polonia” w Gryfinie.



# Nie chcę być okrutny...

Sławomir Kryśka

**T**AMTEGO dnia ojciec wrócił z kliniki zupełnie rozbity. „Przywieźli do nas budowlanica — powiedział — pół godziny tkwił chłop przyciśnięty jakimś dźwigiem, czy inną maszyną budowlaną do ściany nowo powstającego bloku na wysokości dziesiątego piętra. Ta maszyna miażdżyła go i trzymała. Nie można jej było cofnąć, bo poleciałby w dziesięciopiętrową przepaść. Z innej strony nie dawało się nieszczęśnika ubezpieczyć. Kiedy wreszcie uwolniła go straż pożarna, kiedy przywieziono go do nas, to...” Mama, która w kuchni kończyła przygotowywać obiad z irytacją fuknęła: „Daruj nam przed jedzeniem szczegóły operacji...” „Tam nie było co operować...”

Przez cały obiad ojciec, mimo zachęt ze strony matki, nie podejmował żadnej rozmowy. Nie chciał się ustosunkować ani do domowej produkcji bimbru pewnego docenta biochemika, ani do aktualnego stanu stosunków między Polską, Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim, ani do dżemów, które zniknęły z państwowego handlu, żeby pojawić się na czarnym rynku po cenach trzykrotnie wyższych. Nadal przebywał w kręgu tamtej tragedii i wiadomo było, że jeśli nie wyrzuci z siebie bodaj kilku słów o wypadku, który w jakiejś części stał się i jego dramatem, jeśli wobec innych nie uczyni próby usprawiedliwienia się z czegoś, za co nie ponosił winy, to i słowem nie ustosunkuje się do moralnego upadku biochemika, do ponurych prognoz na temat sytuacji międzynarodowej, do dżemowej klęski. Matce potrzebne były jego opinie go brylowania między przyjaciółkami, więc przy deserze — budyń z konfiturami — rzuciła na odczepnego: „Po licha ten budowlanica tam lał?” „Bo przed nim polazł kotek i bał się zejść. Kotek zresztą wyszedł bez szwanku. Straż go uratowała. — Ojciec pochnął głowę znad stołu. — Potrafiłem już się pogodzić z nieuchronnością śmierci, ale nie umiem pogodzić się z jej nieodłącznym atrybutem: niepamięcią, która bardzo przedziwnie zaczyna towarzyszyć umarłym. Ta absurdalna śmierć przez kota, albo wręcz przeciwnie, kot nadal jej wymiar wielki i patetyczny, niemniej, jak byśmy ocenili, jest ta śmierć, jak wszystkie, niezmiernie ważna, jest przecież jakimś tam przypiskiem do sensu życia najbliższych umarłemu, stąd i nas wszystkich. A daję głowę, że nawet pośród tych najbliższych za dziesięć, piętnaście lat, będzie ona tylko smutną anegdotą na okazje dnia zadusznego, a za sto... Co więc gadać o jej obecności w pamięci zbiorowej?” „Nie możemy żyć ciągle w cieniu zmarłych”. Pamiętam, pomyślałem z sarkazmem, skąd też mamie przyszedł do głowy taki ładny zwrot? „Ale nie możemy żyć również tak — odpowiedział ojciec — jakby nikt oprócz nas nie przyszedł na ten świat i jak byśmy mieli zapewnioną nieśmiertelność. Nie możemy wszystkimi siłami odsuwać od siebie myśli o kreście, bo śmierć jest konieczna życiu.” „Wybac, nieśmiertelność to temat dla teologa, a nie dla lekarza...” — powiedziała godnie mama w nadziei, że w ten sposób przetrnie dyskusję.

Światopoglądowo różnili się z ojcem i starali się nie podnosić tego tematu i rozmowa — sądziłem — powróci do znacznie bardziej interesującej bimbrowniczej działalności biochemika. Ojciec jednak nie podjął wątku. „Marks, tak Marks zauważył, że śmierć, będąc tragedią jednostki, jest równocześnie zwycięstwem gatunku homo sapiens. Gdybyśmy żyli wiecznie, nie do pomyślenia byłaby odnowa gatunku właśnie, a stąd i wszelki rozwój moralny, cywilizacyjny i jaki kto chce. Wszelki postęp. Jesteśmy ogniwem w łańcuchu postępu, kontynuacja, a nie jakimś ewenementem bez poprzedników i następców, plazem w skorupie, jak pisał Mickiewicz, co się wzbija i w głąb wali; nie lgnie do niego fala ani on do fali; A wtem jak bańka pękła o szmat głazu. Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby; To samoluby”. Ojciec zerknął na mnie z ukosa, a ja po raz któryś ze zdziwieniem skonstatowałem, że nieprawdą jest, jakoby wszystkie tak zwane dzieła literatury zostały napisane tylko po to, żeby nimi wypełnić program szkolny języka polskiego. Ze jest w nich zawarte coś więcej, o wiele, wiele więcej, niż temat do wypracowania: „Pierwiastki romantyczne w poezji na przykładzie „Ody do Młodości”.

Matka zaczęła sprzątać talerze ze stołu. Musiała dojść do wniosku, że ojciec nie zechce komentować teleportacji dżemów ze sklepów państwowych na prywatne stragany. A ojcowskie duszne niepokoje, jak z sarkazmem nazywała podobne dziesięciszy, przyprowadzają ją tylko o ból głowy, jak wszystkie akademickie dyskusje, z których dla codziennego gotowania obiadu nie nie wynika. „Rozumiem pytanie: za co żyje? — mówiła z przekąsem — ale po co żyje? To pytanie dla Pana Boga. Kiedy nas tworzył, to chyba miał w tym jakiś interes...” Ojciec stał się wyraźnie odprężony po podzieleniu się refleksjami, które wzbudził w nim tragiczny wypadek. „Tak, Mateuszu, jeśli cię już obdarzyłem tą dziedziczną chorobą, którą jest

życie, nieuleczalną chorobą, winienem ci przynajmniej wyjaśnić po kiego grzyba masz się tyle męczyć, zanim umrzesz. Może w ten sposób chociaż w części zmażę mój grzech. Bo czyż nie jest grzechem powoływanie człowieka, wiedząc że ten musi być naznaczony piętnem śmierci?” — Ojciec, jak zwykle kiedy go coś dręczyło, kiedy dociekał przyczyn tej udręki, mówił o sprawach najważniejszych, jakby były zupełnie nieważne, czasem zbliżał się wręcz do granicy blaszyny, lecz nigdy jej nie przekroczył i ten sposób przez swoją lekkość, „maupassantowość”, całkowite wypranie z patetycznych akcentów, czynił wypowiedziane przezeń treści prawdziwie zasadniczymi. Ostatnimi czasy prawie wyłącznie posługiwał się takim właśnie tonem.

„Najzabawniejsze w naszym życiu jest to, że jego sens polega w sporej części na śmierci. Gdyby nie było umarłych ludzkość byłaby martwa, to pierwsza konsekwencja takiego postawienia sprawy. A druga, gdyby umarli nie mieli następnej egzystencji, oczywiście nie w niebie, a w nas, gatunek ludzki zatrzymałby się w rozwoju. Całkiem zgrabnie wychodzi mi to tłumaczenie się z faktu świadomego obdarzenia cię schorzeniem paskudniejszym od cholery, dżumy, trądu plus nowotwory razem wziętymi, prawda, Mateuszu? — ojciec uśmiechnął się. — Z wiekiem coraz częściej zastanawiamy się nad sensem własnego życia, to jeden z objawów zbliżania się nieuchronnego. Ohydny objaw. Można, oczywiście, cierpienia płynące z tej przyczyny zagłuszyć, przerzucając całe zmartwienie o ten sens na Pana Boga, ale to jakoś niegodnie, nie po ludzku... Jedynym lekarstwem jest zastanawianie się nad tym sensem dostatecznie wcześnie, wtedy na starość...”



Rys. Józef Tarłowski

Powtórzyłem Marysi wywody ojca, darując sobie tylko powoływanie się na Marksa. Nie, nie z brzydkiej chęci przywłaszczenia przemysłu filozofa. Nieraz mądrzyłem się, nie podając źródła wymądrzania, to robiło wrażenie, iż Mateusz tak z głowy potrafi o wszystkim, że tylko w naukowej książce zapisywać. Opuściłem ze względu na ogólną, jakby tu rzecz, antymarksistowską atmosferę. Powoływanie się na Marksa z góry przekreślało każdą rację, przyklejało do niej etykietę lepiej — bajdurzenia, gorzej — perfidnego kłamstwa. Nostradamus był już większym autorytetem, co ja zresztą plotę, Nostradamus coraz powszechniej uchodził za rzeczywisty autorytet naukowy. „Maluczko, a Nostradamus zostanie jedynym historiozofem, jedynym naczyniem mądrości na tej Ziemi — znowu przypominałem sobie ojca — Pismo Święte jedynym pismem, no, może jeszcze w publicznych klozetach trafiają się jakieś graffiti, psychotronicznie stanowić będą o rozwoju techniki, bioenergoterapeuci medycyny, lekarzy potraktuje się jak znachorów, ekonomię... nie, ekonomistów już mamy na poziomie poprzednio wymienionych naukowców, polityką zajmą się nawiedzeni, najlepiej maniacy religijni, a oczekiwanie na cud zastąpi wszelką praktykę i teorię. Maluczko, przekonasz się, Mateuszu, a ten scenariusz do powieści science fiction stanie się rzeczywistością”.

Więc darowałem sobie przywoływanie Marksa, mówiąc do Marysi:

— Jesteśmy ogniwem w rozwoju gatunku, co wcale nie znaczy, że nie mamy indywidualności. Ale o sensie życia stanowi dopiero jedno z drugim do kupy. Dla jednego z drugim powinniśmy być ocupinę lepsi niż nasi poprzednicy.

— Bóg nie wymaga, żebyśmy byli gorsi.  
— Ale mamy być lepsi ze względu na Boga, a ten взгляд nie zawsze czyni nas lepszymi wobec ludzi. Czasem wręcz przeciwnie.

W naszej wędrówce dotarliśmy pod mur cmentarny, gdzie ciągnął się rząd ziemnych, zaniedbanych mogilek ze zbitymi byle jak i z byle drzewa krzyżkami. Z tabliczek wołały napisy: „Wituf Matuszewski, zmarł po urodzeniu — i data — Kryśka Górka żyła jeden dzień — i znowu data — Grażyna Wolek...”

— Jeśli tych dzieci nie udało się ochrzcić bodaj z wody, to twoj Bóg — podkreśliłem zamek — wysłał ich dusze do otchłani. Ale zwołał na rajskie łąki hitlerowskiego gubernatora Polski Hansa Franka, którego powiesili w Norymberdze. Ten morderca i dobry katolik na pewno wyśpiewał się przed śmiercią i wzbudził w sobie żal za grzechy...

Dziewczyna spojrzała na mnie niepewnie.  
— Nie chcę być okrutny, lecz dla mnie byłaby nie do zniesienia świadomość, że święty ojciec Maksymilian Kolbe zamęczony w Oświęcimiu siedzi obok swojego kata po prawicy pańskiej.

— Błuznicz — próbowała się oburzyć Marysia i zamilkła. W jej wyobraźni również nie mógł się zmieścić przysączysty oprawca w eleganckim mundurze z hakenkreuzem i wychudzony do ostateczności męczennik w obozowym pasiaku zaskładający w jednym chwile anielskim.

— Błuznicz?  
— Bóg jest miłosierny... Ojcu Kolbe na pewno jest przyjemnie... — rozpaczliwie chciała uratować twarz.

— Stąd wniosek, że sprawiedliwość, wolność, dobro, w ogóle te wszystkie piękne idee, wymyślone przez ludzi, nie mają żadnego znaczenia dla naszej hipotezy wieczności. Trudno się temu nawet dziwić — dodałem po chwili — wreszcie powstały w świecie materialnym i nie muszą przystawać do innej konstrukcji czasowo-przestrzennej.

— Nie, to chyba coś nie tak...  
Rany, pomyślałem ze złością, jaką ta dziewczyna ma zdolność robienia ze mnie rozpuszczonych zimnych nówek. Wzruszenie kazało mi stonować to, co powiedziałem przed chwilą.

— Człowiek nie powinien zwracać sobie głowy niebem, a troszczyć się o przyzwoite życie na ziemi. Wierz mi, wszystkie piękne idee są nam konieczne bez względu na to, czy istniejemy, czy nie, po śmierci.

— Więc co ci szkodzi wierzyć?!  
— Tak również radził Pascal — nie omieszkalem popisać się erudycją. — Słusznie, nic się nie ryzykuje, nic nie traci, chyba...

— Chyba? — spojrzała pytająco. Czyżbym jednak posiał w jej świadomości ziarenko sceptycyzmu co do Boga, jako panaceum na wszelkie dolegliwości świata?

— Chyba — kontynuowałem — że używa się Boga jako magicznej różdżki do rozwiązywania każdego powszedniego i odświętnego problemu. Przy boskiej pomocy zrobimy z Polski drugą Japonię, chociaż nie wiem, czy akurat do tej roboty katolicki Bóg przyłożyłby się z największą chęcią, bo w Japonii prawie sami buddyści, więc... sama rozumiesz. Przy boskiej pomocy domy się będą same budować, fabryki same pracować... — urwałem. Twarz Marysi zdradzała, że nie jest zachwycona moim krasomówstwem.

— Dziewczyno — chwyciłem ją za ramiona — uwierz mi, ty też przy pomocy boskiej nie wydziesz z tego twojego cholernego dołka. Nie wiem, kto ci zafundował ten dołek, ale, u diabła, życie to nie cmentarz, żeby się zaraz w nim kłaść i czekać na garbarza i pokropek.

— Mateusz, a kto mnie przyprowadził na cmentarz?

— Nieważne, kto cię przyprowadził, ważne, kto cię wyprowadzi — złapałem Marysię za rękę i zacząłem ciągnąć w stronę bramy.

— Też sposób na zaskarwienie wdzięczności.  
— Przecież... Nie, ja już nie wytrzymam tej huśtawki nastrojów — zawołałem. W głowie mi hucało. — Ty, która byłaś jak podręcznik matematyki...

— Logiczna, precyzyjna, spójna, zawsze znajdująca rozwiązanie... Dla ciebie miałam być też takim podręcznikiem, do którego można się odwołać przy życiowych komplikacjach?

Patrzyła przenikliwie. To spojrzenie i pejzaż jesiennej cmentarza zbijały z pantalyku. Nagle oisniło mnie, że tak, że nie przyznaję się przed sobą, podobna myśl narażałaby na szwank wyobrażenie o sobie mocnym i mądrym, pociągany byłam ku Marysi nadzieją, że przy niej bez trudu rozwiążę własne zapląty, z którymi coraz ciężiej dawałem sobie radę.

— Otóż nadal jestem, jak ten podręcznik — powiedziała jak dawniej spokojnie i pewnie — tylko że z niego wyrwano część kartek. Teraz on ani logiczny, ani precyzyjny, ani spójny, a jeśli chodzi o rozwiązanie, to co można rozwiązywać przy pomocy podręcznika, w którym zadania mają tylko połowę treści, z przesłanką została co druga... Z takiej książki można najwyżej ułożyć wiersz.

Przed bramą ostatnie handlarzy nagrobnych akcesoriów zwiły swoje stragany. Patrząc na znicze, wianki z jedliny, kwiaty, Marysia zauważyła, że nie mamy nawet najpaskudniejszego urodzinowego badyła dla Lukrecji.

— Zaraz się kupi.  
— Tutaj?

— A dlaczego nie? ... Mój wujek — zmyśliłem naprędce — ilekroć siedzi na pogrzeb, to kwiaty kupował pod szpitalem położniczym. Mówił, że nieboszczykowi będzie przyjemniej, kiedy dostanie wiązankę z takiego radosnego miejsca. — Wybrałem trzy, w miarę mało zdechłe, goździki. — Może one nastroją Lukrecję filozoficznie.

Marysia roześmiała się cicho. Roześmiała bez przymusu.

(Fragment powieści pt. „Najgorsza rzecz w życiu”)



# POEZJA SŁOWACKA

Dezider Banga

## WIECZÓR

Wieczór to rzeka jak ogon pawia,  
barwne rybki kwitną pod wodą,  
złoty księżyc dzwoni  
o fale ciemno modre.

Wieczór to rzeka kwiatów pełna,  
plaska się w niej dziewocyna,  
Zanim z włosów spłynie blask,  
na fali rozwinie się lilia.

Wieczór to rzeka rozpostarte płótno,  
wyszywane milionami gwiazd,  
kiedy strun jej dotknie ulotny liść,  
rzeka zagra najpełniejszy akord.

pełen szczególnej dumy  
która do dziś cię przepelnia  
gdy pozostawiasz w panieństwie  
wszystkie inne kobiety świata

to ty  
tu  
nad swoją ręką  
z piórem  
co jak strzykawka  
przy pobieraniu krwi  
powoli  
wyciąga z ciebie kilka słów  
których wystarczy  
na rozbiór twojej duszy

Vojtech Mihálik

## GŁODNA NOC

Kiedy nie miałem już dachu nad głową  
i rozsypana się w mych rękach ziemia,  
nie upadło słońce, tylko ja upadłem  
na ementarz rozkwitły.

Wciąż mi się zdaje, że trwa tamto lato,  
księżycą wymię zwisło nad stodołą,  
plonęła łąka, szczodre strugi mleka  
świeciły pod nogami krów.

I jak przed laty klóć się i gryzą  
w oknie, na półce garnki roześmiane,  
malowane garnki.

Lecz ja tu właśnie upadłem bez siły,  
a że nie miałem już dachu nad głową,  
pod zagniewanym zasnęłem obłokiem.

Štefan Stražay

## CAŁKIEM PRZYPADKOWO

Eryka siedzi w zielonej dłoni krzesła.  
Różowe włosy długo padają jej na plecy  
i kolana przyciśnięte do siebie  
młczą o czerwonej krwi.

Dwa okrągłe mocne kolana,  
podobne do jabłek cicho dojrzewających,  
pod gwiazdą w rozpiętej ciemności.  
Eryka siedzi i światło wrasta do stołu.

Lubomir Feldek

## NAD WŁASNYM WIERSZEM

oglądasz własny wiersz  
jak starą fotografię

to ty  
w czasie  
kiedy jeszcze trochę bokiem od ogniska stoi  
kłoc  
to ty  
przed małżeństwem  
jak przed kolibą  
w której łpi młoda piękna kobieta

minionej nocy byliście razem  
nadzy  
i zostawiłeś ją w panieństwie

## Noty o autorach

DEZIDER BANGA: ur. 1938 w wsi Hradiste, poeta pracujący jako redaktor koszyckiej telewizji. Pochodzenie związało jego twórczość z motywami cygańskimi, obecny mi we wszystkich jego utworach. Na język słowacki przełożył wiersze baśnie cygańskie. Wydał zbiory wierszy: „Kaczeniec i nenufar” (1967), „Rozmowy z nocą” (1970), „Niebieska burza” (1970).

LUBOMIR FELDEK: ur. 1936 w Żylinie, poeta, dramaturg, tłumacz poezji francuskiej, rosyjskiej i polskiej. Autor książek i sztuk kukielkowych dla dzieci (w polskich teatrach lalkowych grano jego sztuki „Botafogo” i „Botafogo w butach” w przekładzie J. Pleśniarowicza) oraz tomu szkiców o problematyce przekładu. Wydał tomiki poezji: „Kredowe koło” (1970), „Paracelsus” (1973), „Dwoje wokół stołu” (1976).

VOJTECH MIHALIK: ur. 1926 w Dolnej Sredzie, przewodniczący Związku Pisarzy Słowackich, dyrektor wydawnictwa Slovenský Spisovateľ w Bratisławie. Odbarzony tytułem „artysty narodowego” poeta tłumacz i znawca poezji polskiej. Debiutował w 1947 roku i od tego czasu opublikował kilkanaście tomów wierszy. Wybór z jego twórczości pt. „Płomień i pocałunek” ukazał się w Wydawnictwie Literackim w Krakowie w roku 1976 w opracowaniu J. Pleśniarowicza i B. S. Kundy.

STEFAN STRAZAY: ur. 1946 w Igramie, poeta, tłumacz (z rosyjskiego), redaktor jednego z bratysławskich wydawnictw. Wydał zbiory wierszy: „Rzeczom na stole” (1966), „Rozbrask: ale niełasy” (1971), „Święta” (1974), „Igram” (1975), „Podhorany” (1977).

KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI

## „Stracone ogrody”

Z E skrzydelka obwołany patrzy młoda kobieta. Wydawałoby się, że nie ma w tym nic szczególnego. Zastanawiało mnie jednak, dlaczego wyraz tej młodej przecieź twarzy jest taki surowy, wyniosły, aż zamknięty w sobie, bez chęci jakiegokolwiek kokieterii, dlaczego, przecieź jest kobietą? Na drugim skrzydełku wiersza pt. „wyliczanka na jutro”: „jutro może być o jeden dzień gorzej/jutro może być o jedną noc ciemniej/ale może być o jeden dzień lepiej/ale może być o jeden ranek jaśniejszy/dlatego żyć trzeba żyć trzeba /aby móc się o tym przekonać/ dlatego żyć trzeba żyć trzeba/choćby miało to życie kosztować”. Ten zamysł edytorsko-poetycki Urszuli Jaros się udało; jest to adekwatne połączenie, a zarazem sama w sobie recenzja tekstów, które zamieściła w tomiku poezji „Stracone ogrody”.

W drugim już (po debiucie „Pokoje kobiet”, 1979, III seria Lubelskich Prezentacji Poetyckich) zbiorze Urszuli Jaros chce zamknąć pewien etap swojego życia, który — według niej — wystarczająco pomógł dojść do dorosłości, tej gorzkiej i refleksyjnej. Stracone złudzenia, rozstania, a później coraz częściej tylko krótkie zafascynowania. To nie jest to, to nie jest pełnia, o której się marzyło, wchodząc w dorosłość. Str. 11: „Ile razy myślałem o różnych milczących /to chciałabym nie wiedzieć / że to dlatego że kiedyś tak dużo powiedziano / a my uwierzyliśmy zbyt mocno zbyt przedko”. Czyje się oszukana, okradziona z czegoś, co było dla niej istotą, sensem. Stąd jej poezja pełna jest etycznego zwątpienia. Po ludzku, wprost, boi się życia, bo traci ono dotychczasowy wymiar i staje się zagrożeniem. Doświadczenia wprowadzają kobiecie w te upragnione dojrzałość i dalej już typowy scenariusz: tak dystans i moralność przyspokoje. Wiele w tych tekstach pytań, wątpliwości, niepokojów. Hipokryzja autorstwa z godnością przeciwstawia poetyckie „ja”, coraz dojrzalsze. Stara się w tym uwikłaniu w samą siebie znaleźć swoistą filozofię, tarczę i oręż na przyszłość. Nie jest to bunt, nie jest kontestacja. Jest chęć zrozumienia (czasem beziluzyjnego a do tyżnizmu) własnych doświadczeń i doświad-

czeń otoczenia. Żeby chcieć być sobą, trzeba ciągle rezygnować, płacić cenę wysoką. Każdy wybór będzie krzywdzeniem drugiego człowieka, a najbardziej krzywdzeniem przez nas będą nasi najbliżsi. Oni nas kochają, ale nie mają wpływu na nasz los.

W poezji tej wiele o kobiecie: zdradzonej, porzuconej, pomawianej. I znowu tyle pytań, na które trudno znaleźć odpowiedź. Pytań o cenę kobiecości, dającej tak wiele, a otrzymującej w zamian tak mało („wspólne kobiety”, str. 24). Jak się ustawić wobec życia, by żyć godnie? A żyć trzeba... Jak utrzymać się na powierzchni straconych złudzeń? Ile razy człowiek musi dokonywać zbrodni na samym sobie, żeby nie zabić tego, co w nim jest najwrażliwsze? Wreszcie: czy warto kontestować, jeśli i tak trzeba iść po cudzych śladach?

Bogata to poezja, niebanalna, głęboka, przemyślana, zaprawiona goryczą doświadczenia. Nie sili się autorka na oryginalność, pozowana ironią. Ona na swój sposób zastanawia się, dzieli wątpliwościami. Nie narzuca swojego „ja”, choć wiele tam buntu, postaw nie do przyjęcia. Przychodzi czas na mądrą pokorę, do której ta poezja zaczyna już dorastać. Zbyt nasze życie mądre i powikłane, by je zrozumieć do końca — zdaje się mówić autorka.

Warto sięgnąć po ten tomik. Nie każdemu odpowiada postawa poetyckiego obserwatora; czasem w poezji szuka się agresywności, wręcz recepty na teraz. Warto jednak wiedzieć, że w refleksyjnej, filozoficznej poezji Urszuli Jaros najbardziej intrygująca jest droga dochodzenia do pointy — cierpliwa, ale własna. Doświadczyć na sobie, by uwierzyć, że człowiek nie żyje dla samego siebie...

Anna Koziolkiewicz

Urszula Jaros: „Stracone ogrody”. Wyd. Lubelskie 1984, str. 76.

SEKRETY ŻYCIA LITERACKIEGO

WSZYSCY mają swoje mity i kompleksy. Literatom wydaje się, że wszechmocne są różne nieokreślone grupy nacisku. Nie jestem rzeczoznawcą w tym zakresie ale od czasu do czasu docierają do mnie odgłosy intrygujące. Kiedyś rozmawiałem z pewnym krytykiem o jednym poecie takim pocziwcu w wymiętych porciach.

— Zgnoję go — mówił krytyk przy niezłe zastawionym stole. — Drań wydał już cztery tomiki w których nie ma nic nowego.

— Takich tomików jest czterysta czy cztery tysiące.

— Pomimo to zgnoję go. Zasłużył sobie na to.

A jednak okazało się, że nie zasłużył. Po paru latach ten sam krytyk przeprowadził z poetą dość nabzdyczony wywiad. Może wypili z sobą wódkę? — zastanawiałem się jako człowiek znający życie i jednocześnie starający się dociec istoty sprawy. Ale wypili czy nie wypili — to w końcu nie było moje smartwienie. Lepiej myśleć o swoich grzechach.

Pewnego dnia spotkałem mnie znajomy poeta. Mówiliśmy o różnych sprawach. Nagle on sobie coś jakby przypomniał.

— Wiesz? — mówi. — Wszyscy dziwią się, że nikt jeszcze nie dał ci dobrze po ogonie.

— Czy to jest reguła? — spytałem.

— Prawie.

Zbagatelizowałem tę rozmowę, bo poeta ten nie miał najlepszej mairi, wyśmiewał się z niego wszyscy, młodzi i starzy. Niektórzy prosto w oczy mówili mu co o nim myślą. Pod tym względem był on jednak człowiekiem nie do zdarcia, sam Zofia potarła by sobie na nim zęby, wpięty zębami o osadzoną szcękę.

Po kilku miesiącach znowu go spotkałem. Tym razem instruował mnie tonem tak zwanej człowieka zyciowego.

— Uważaj — mówi. — Szykuje się nagonka na ciebie, chcą cię zniszczyć.

— Co to znaczy?

— Jak to co? Znaczą bardzo wiele.

— Mianowicie? Ktoś wydrzkuje jakiś paszkwil?

— To też. Poza tym zadrąją cię o tobie mówić. Złe i coraz gorzej.

No i różne takie duperele.

— Dopóki mówią choćby źle, to jeszcze chyba nie jest najgorzej.

— Możliwe — odpowiedział i uśmiechnął się zyczliwie, choć ja dobrze wiedziałem, że to on właśnie specjalizuje się w kolportowaniu najdziwniejszych o mnie plotek. Naprawdę chciałbym mieć taką bufną osobowość, taka odpowiedział bohater tych plotek.

Ktoś powie, że to jest zwykłe lobuzerstwo, ale to niewłaściwe słowo. Skąd się do wszystkiego bierze? Myślę, że mamy do czynienia z interesującym stykiem tak zwanej cyganerii z tak zwanym filisterstwem. To są wprawdzie niemożliwe terminy, ale posłużmy się nimi z braku lepszych. Cyganeria — wiadomo — skłonna jest raczej do skandalu, a filisterstwo odwrotnie, woli siedzieć cicho i dalej robić swoje. Tymczasem artysta, trochę cygan, trochę mydiek, balansuje sobie na krawędzi skandalu i sukcesu. W końcu jedno i drugie rozwiązanie spokoju mu nie daje. Poza tym ploteczki, kombinacje środowiskowe, intrygi są namiastką manifestu programu artystycznego. Grupa biesiadna, imiennikowa czy wręcz sąsiedzka zastępuje grupę poetycką. W sumie więc jest to wszystko wyrazem tęsknoty za ideałem. Tak to przynajmniej wygląda z optymistycznego punktu widzenia, bo nie chciałbym tu wygłaszać jakichś ponurych sądów o gorzej stronie natury bliźniego. Ostatecznie nie jestem ponurym średniowiecznym kaznodzieją, tylko felietonistą wyhodowanym na witaminach naszego wieku.

Janusz Olezak



**J**AGIELLO żenił się czterokrotnie, a za każdym razem królewska atkwa budziła sensację i plotki. Już Jadwiga była posądzona o dalsze flirty ze swym byłym narzeczonym Wilhelmem Habsburgiem. Sprawę zbadano i oskarżyciel, Gniewosz z Dalewic, zgodnie z literą prawa musiał wejść pod lawę i stamtąd — jak pies — odszczekać oszczerstwa. Drużej żonie Jagielly, Annie Cylejskiej, też zarzucano niewierność. Niedługo po ślubie rozeszła się po Krakowie wieść, że Jakub z Kobylan i Mikołaj Chrzastowski cudzolożyli pod nieobecność króla z królową tak namiętnie, aż zawałiła się sypialnia. Jeszcze sprawa dobrze nie ucichła, a następny adorator, Jan z Tęczyna, został przyłapany w zamku o nocnej porze i w miejscu tajemnym, w pobliżu sypialni królowej, o czym poinformował monarchę starosta krakowski Klemens z Moskarzowa, a który później odwołał to pomówienie. Natomiast w 1411 r. królowa oskarżyła arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja Kurowskiego, jakoby miał ją namawiać „do sprawy miłosnej”. Mikołaj Kurowski tak się przejął zarzutem, że zgryzoty zmarł. Trzecie małżeństwo Jagielly, przygotowywane w tajemnicy i zawarte 2 maja 1417 r. w Sanoku, również zaskoczyło wszystkich. Wybranką była „poddanka” króla, córka wojewody sandomierskiego Ottona z Pilczy, Elżbieta, wdowa po trzech mężach, kobieta o wyjątkowo bujnej przeszłości. Pierwszy małżonek — Wiszel Czambor, możny z Moraw — porwał ją dla bogatego posagu

bękartą i zastanowił się, czy pierworodny Władysław nie jest także z nieprawego łoża — koniec zatem Zofii, koniec dynastii, koniec unii polsko-litewskiej. Jagiello stanął jednak na wysokości zadania — trafnie ocenił sytuację, nie dał się ponieść emocjom i sprawę rozstrzygnął zgodnie z interesami dynastii i państwa, tzn. nie prowadził większych dochodzeń, nie wrzucił żony do więzienia, ale całą sprawę uznał za niebyłą po złożeniu przez królową przysięgi o swej niewinności. Długosz pisał: Z rozporządzenia i nakazu króla Władysława królowa Zofia z Rusi przeniosła się do Krakowa, gdzie w sobotę dnia 29 listopada wydała na świat trzeciego syna, którego Zbigniew, biskup krakowski, w niedzielę dnia 21 grudnia ochrzcił w kościele krakowskim, i dano mu imię Kazimierz. Ale jak narodzenie pierworodnego syna Władysława było Polakom mile i pożądane, dla obcych zaś i postronnych straszne, tak przeciwnie, przyjęcie na świat tego ostatniego stało się dla swoich przykrym i obmierzłym, a wielce pociesznym dla obcych, którzy z przyczyny rzuconej na królową i jej dziecko potwarzy różne rozsiewali gadki i naśmiewiska. Dla zmaszania przeto tej plamy z uchwały radców naznaczono królowej Zofii oczyszczającą przysięgę, którą ona przed Zbigniewem, biskupem krakowskim, Krystynem z Ostrowa, kasztelanem, Janem z Tarnowa, wojewodą krakowskim, i Mikołajem z Michałowa, wojewodą sandomierskim, wykonała wraz z siedmiu znakomitymi niewiastami.

aż do późnej nocy i zaziębiony się mocno, zwłaszcza że wiek już był ciału jego ostudził, a nie był dosyć ciepło ubrany... zaraz od tego czasu zaczął na śluch zapadać. Zmarł 1 czerwca 1434 r. w Gródku, nazwanym później Jagiellońskim. Pozostawił po sobie dwóch synów, filary dynastii, spadkobierców potęgi i sławy jagiellońskiego domu: Władysława, który zginął w 1444 r. w bitwie z osmańskimi Turkami pod daleką czarnomorską Warną, i Kazimierza, który podjął w latach 1454—1466 uciążliwą walkę z Zakonem Krzyżackim, pokonując go i odzyskując dla Polski Pomorze Gdańskie oraz Warmię. Córka Jadwiga z Anny Cylejskiej zmarła natomiast w dwa i pół roku przed Jagiellą — 8 grudnia 1431 r.

Los zdarzył, że najwybitniejszym przedstawicielem dynastii jagiellońskiej na tronie polskim był jej założyciel. Skromny w swych potrzebach osobistych, w sprawach dotyczących dobra dynastii i państwa działał zdecydowanie i stanowczo. Jagiello znał świetnie ziemię, po której stapał. W polityce był realistą i zmierzał zawsze do tego, co w danej chwili możliwe było do osiągnięcia, unikał zaś tego, co było niepewne, choć kuszące. Był samotnikiem, widział dalej i lepiej niż inni, a mądrość swą czerpał z wrodzonej intuicji. Prosty, uparty i konsekwentny, niezłomny w dążeniu do wytyczonych celów, trafnie oceniał, czego krajowi w zaistniałych okolicznościach najwięcej potrzeba i co w danym momencie możliwe było do zrealizowania.

# Zwycięzca spod Grunwaldu (4)

Adam Andrzej Witusik

z rodzicielskiego zamku, drugi — Jencziak z Hiczyzna, rodak Czambora — wydarł poprzedniemu, którego później zabił. Trzecim mężem był kasztelan nakielski Wincenty z Granowa, człowiek spokojny, znęcony — podobnie jak dwaj poprzedni — majątkiem, którego w 1410 r. otruli Krzyżacy w Toruniu. Elżbieta była jedyną żoną Władysława, na której nie ciążył zarzut wiarołomstwa. Zmarła w trzy lata po ślubie — 12 maja 1420 r. i pochowana ją w katedrze wawelskiej.

Zofia, czwarta żona Jagielly, z którą ożenił się król w wieku 71 lat, sprawiła przykrą niespodziankę tym wszystkim, którzy liczyli, że monarcha zemrze bez męskiego potomka. Tymczasem w ciągu czterech lat urodziła ona królowi dwóch synów: Władysława (nazwanego później Warneńczykiem) i Kazimierza, który zmarł w niemowlęctwie, a w 1427 r. znów była w zaawansowanej ciąży. Wszelkie kalkulacje polityczne obliczone na bezdzietność Jagielly nie sprawdziły się więc. Należało zatem inaczej rozegrać sprawę: oskarżyć królową o cudzołóstwo i liczyć na łatwowierność i podejrzliwość monarchy.

Dobrze poinformowany Długosz pisał w swej kronice: Dnia 2 marca 1427 r. nowo narodzony syn króla Władysława, Kazimierz, w Krakowie zszedł ze świata. Zgon jego wielkim smutkiem nappełnił króla i żonę jego królową Zofię, którzy aż do zbytku poddawali się żalowi. Tymczasem Witold, wielki książę litewski, powziąwszy podejrzenie o królowej Zofii, która po wydaniu na świat dwóch synów znów w tym roku okazała się brzemienną, dawszy ucho pogłoskom, jakie dochodziły, i zważywszy wiek Władysława króla, zgrybiały raczej niż podszły, na który sam się przed nim często uskarżał, wymógł na królu, aby się z nim zjechał na dzień Podwyższenia św. Krzyża [14 września] w Horodle dla zaradzenia szerczącym się wieściom i padającej tak na króla, jako i na królową nieślawie; wiedział bowiem, że królowa Zofia wielce była obmowiona. W uroczystość Podwyższenia św. Krzyża, która przypadała wówczas w niedzielę, Władysław, król polski, zjechał z Witoldem, księciem litewskim, w mieście Horodle nad rzeką Bugiem, zostawiwszy królową Zofię w medycznym dworze. Gdy na ten zjazd ci tylko z polskich panów radnych, którzy zwykłe potakiwali w zdaniach królowi i księżciu, prywatnie wezwani przybyli (innych bowiem śmielszych i otwartzych w mowie, aby nie czynili przeszkody, nie przypuszczono do rady), zabrał głos Witold i oświadczył, że jak z doniesień pewnych i oskarżeń dobrze mu wiadomo, królowa polska Zofia, niebaczna na wstyd i uczciwość, z niektórymi rycerzami polskimi (tych po nazwisku wymienił) skryte ma zaloty; i jeśli wcześniej zlemu się nie zaradzi, obawiać się trzeba, aby przy zwykłej plci swojej ułomności w gorsze nie popadła błędy, z własną króla i królestwa ohyda, zwłaszcza że wiek, uroda, umysł swobodny, dostatek i wygodę życia wiele do tego następczą sposobności; że więc wspomnianych dworzán należy pobrać i uwięzić, a królową Zofię mieć pod czujnym dozorem, ująwszy jej nieco obroku. Król, tknięty boleśnie takim doniesieniem, nie mógł jednakże wymiarkować, czy książę Witold szczerze miał na celu ocalenie sławy królewskiej, czyli też chciał wystawić królową na hańbę i obławę.

Konsekwencje wynikające z owego pomówienia o cudzołóstwo królowej Zofii, gdyby Jagiello okazał się łatwowierny i podejrzliwy, mogłyby być olbrzymie. Gdyby bowiem król uwierzył w tę wiadomość, musiałby: po pierwsze — wziąć rozwód, a po drugie — uznać mające przyjść na świat dziecię za

Od narodzin w 1424 r. syna Władysława Jagiello robił wszystko, aby jakimikolwiek sposobami dziedzictwo Królestwa Polskiego pozostało przy narodzie litewskim, rodzie i domu Gedymina. Kierowane przez biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego, możnowładztwo uzależniło to od potwierdzenia przywilejów stanowych i ich niewielkiego rozszerzenia, na co król wyrażał zgodę, oraz od zaakceptowania klauzuli, iż uznanie praw syna będzie ważne wtedy, gdy potwierdzi on przed objęciem tronu wszelkie przywileje stanowe. Klauzula ta zamieniała dziedziczenie tronu na jego elekcyjność, na co Jagiello nie chciał się zgodzić. Po przeszło pięciu latach przetargów i sporów Jagiello przyjął ostatecznie warunki panów i szlachty koronnej.

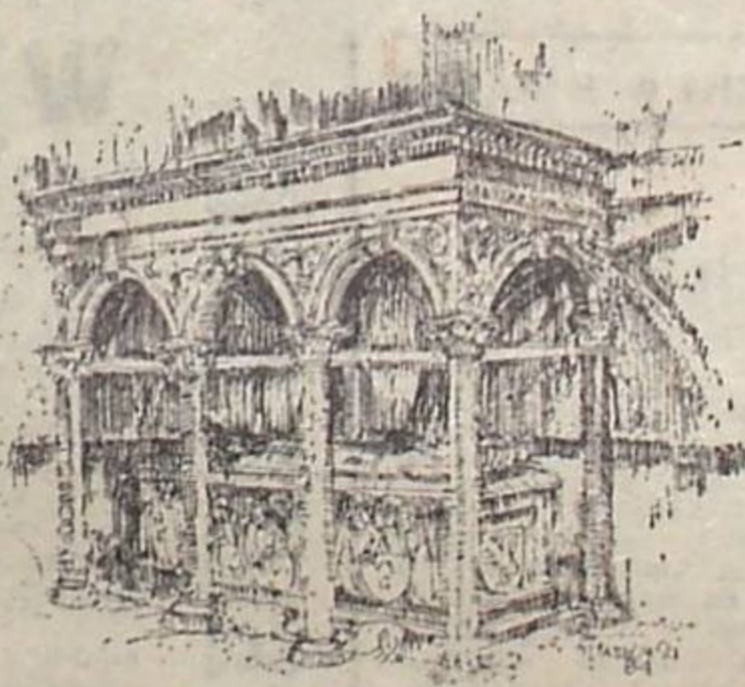
W 1433 r. Polska wzięła odwet na Zakonie Krzyżackim. Armia koronna wspomaganą przez czeskich

wania. Dla bezpieczeństwa Polski i jej pomyślności politycznej i materialnej dobrze się stało, że w godzinach potrzeby wadał nią mężczyzna, który nie uchylał się od decyzji i umiał przeprowadzać swoją wolę.

Pod rządami zwycięcy spod Grunwaldu Litwa i Polska stały się największym i jednym z najpotężniejszych państw w Europie. Zadna z idei Jagielly nie skończyła się tylko na pomysle, ale wszystkie były wówczas lub później zrealizowane. Czego nie dokazał niemiecki Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny, jego brutalne wyprawy krzyżowe na Litwę, morze przelanej krwi — tego dokazał Jagiello, oddając chrześcijaństwu światu ostatni pogański naród w Europie, co tym samym pozbawiło Krzyżaków racji bytu nad Bałtykiem. Choć nie potrafił zlikwidować Zakonu, zdruzgotał go pod Grunwaldem i w dalszych walkach. Przez rozsądny kompromis zneutralizował separatyzm litewsko-ruski oraz dogadał się z bratem stryjecznym, początkowo swym rywalem, Witoldem, czyniąc z niego cennego współpracownika. Gdy w pierwszych latach wladania Litwą, wobec wrogów na wszystkich granicach i przynajmniej przewagi krzyżackiej, Litwini mieli się zastanawiać, czy nie porzucić ziemi swych przodków i nie szukać gdzie indziej schronienia, w ostatnich latach współpracy Jagielly i Witolda istniał trwały pokój z państwem moskiewskim, ordy tatarskie szukały oparcia w monarchii jagiellońskiej, Krzyżacy od pokoju melneńskiego 1422 r. nie najeżdżali już nigdy terytorium litewskiego. Gdy Jagiello obejmował tron krakowski, Polska zagrożona była zakusami ze strony Habsburgów i Luksemburgów wspartych o porozumienie z Krzyżakami. Za rządów zwycięcy spod Grunwaldu ofiarowywano polskiemu królowi tron czeski, hołdowali mu gospodarowie Moldawii, oparcia szukali na Wawelu książęta zachodniopomorscy.

W życiu osobistym Jagiello był skromny i bezpośredni. Jadał proste potrawy, nie pijał piwa ani syconych miodów, a jedynie wodę. Było to spowodowane nie tylko wstrzemięźliwością, ale i obawą przed otruciem. Golił codziennie zarost i kąpał się zazwyczaj dwa razy w tygodniu, a niekiedy częściej. Na trudy, zimna, upały, zawieje i kurzawy na podziw był cierpliwy — charakteryzował monarchę jeden z piętnastowiecznych kronikarzy — W łudziach umiał dostrzegać enoty... Każdą sprawę chwalebna, czy to na wojnie, czy podczas pokoju spełnioną, hojnie i wspaniale wynagradzał... Zaw sze trzeźwy, wina ani piwa nie pijał. Jablek i ich zapachu nienawidził, dobre jednak i słodkie gruszeki po kryjomu jadał... W obietnicach i postanowieniach wierny i stateczny, sam zmieniał ich nie lubił i panom swoim odwoływać nie dopuszczał, chyba dla ważnej jakiej przyczyny i konieczności; a zaw sze starał się przyprowadzić je do skutku. Sprawy ubogich, wdów i sierot, jeśli sam słuchał i załatwiał nie mógł, innym mężom uczciwym polecał do załatwienia... Do miłostek, nie tylko dozwolonych, ale i zakazanych, pochopny... W wojnach niemal wszystkich używał szczęścia i pomyślności. Dla obcych i przychodniów był tak ludzkim i uprzejmym, że podziwieniem była taka cnota w czło wieku zrodzonym pośród dzikości i pogaństwa. Uraz doznanych i nieprzyjaźni nigdy nie pamiętał... Ozdób powierzchownych i szat wytwornych nie lubił; chodził zwykle w baranim kożuchu sukniem pokrytym; rzadko brał na siebie strój wykwintniejszy, jak płaszcz z szarego aksamitu bez żadnych ozdób ani złotogłowiu.

Pozostawił po sobie król związek dwóch państw: Litwy i Polski, monarchię jagiellońską, zaliczaną do pierwszych potęg ówczesnej Europy. Od niego wzięła początek dynastia Jagiellońska, która zapisała się dobrze w dziejach naszego narodu.



Grobowiec Władysława Jagielly w katedrze wawelskiej.

Rysunek Józefa Tarłowskiego

husytów, zwanych „sierotkami”, wkroczyła do Nowej Marchii oraz Prus i doszła aż do Morza Bałtyckiego, niszcząc kraj bezwzględnie. Piękny to był i wesóły dzień dla rycerstwa polskiego, które... dotarło zwycięsko i bez szkody aż do morskiego oceanu. Za czym wielu Polaków pasowano wtedy na rycerzy... Wielu zaś spomiędzy Czechów nalewało wodę morską we flaszkę i zaniósł ją potem do swoich na pamiątkę tak dalekiej wyprawy. Czeszy sojusznicy na terenie wroga byli twardzi i nieugięci. W zdobytym Tezewie Polacy musieli im wydać wziętych do niewoli ich pobratymców, którzy za pieniądze służyli Zakonowi Krzyżackiemu. Zostali spaleni na stosie za to, że — jak rzekł do skazanych przed egzekucją husycki przywódca Jan Czapek — przeciw własnemu narodowi dawali pomoc Niemcom i przyszli do Prus najemniczym orężem wojować z królem polskim i Polakami, którzy dla wspólnego języka zawsze byli Czechom przychylni. Wspólna polsko-czeska wyprawa nad Bałtyk przyniosła duże zyski polityczne. Poddani Zakonu, stany pruskie, zmusiły wielkiego mistrza krzyżackiego do zawarcia pokoju z Polską i do przestrzegania go.

Jagiello nie doczekał już podpisania pokoju z Krzyżakami. W kwietniu 1434 r. podążając do Halicza zatrzymał się w Medyce, gdzie z upodobaniem i zwyczajem, jaki miał w całym życiu, a który był zachował jeszcze z czasów pogaństwa, poszedł do lasu dla słuchania słowika i ucieszenia się jego słodkim pięknem; a zabawiwszy na tym słuchaniu



**Pana Stasia  
dawne i bliższe  
przygody  
z pięściarstwem (2)**

# Boks w wolnym Lublinie

Lucjan Olszewski



**W** POŁOWIE sierpnia 1944 r. gazeta „Ziemia Lubelska” zamieściła pierwszy chyba sportowy anons na wolnym skrawku Polski. Oto co zapowiadano:

Na ringu bokserkim, w niedzielę, tj. 20 bm., o godzinie 12 w południe w sali kina „Apollo” odbędzie się

### ZAWODY BOKSERSKIE

Udział biorą najlepsi bokserzy Lublina oraz 2 bokserów zamiejscowych.

Walcą m.in.:  
Łada (mistrz Polski) — Zalewski (Lublin), Ziółek (Poznań) — Zieliński I (Lublin) oraz Kalita, Choina, Maciejewski, Orłowski, Zieliński II, Chodelski, Bialek i inni. Walczy 7 par.

Sędzią na ringu znany sędzia PZB p. Marciniak.

Bilety do nabycia w kasie kina „Apollo”.

Dochód przeznaczony na sieroty po poległych za Ojczyznę.

Ta niespodziewana zapowiedź meczu bokserkiego wywołała tywe zainteresowanie. Niektórzy pamiętali majowy mecz Lublin — Warszawa, teraz jednak impreza miała mieć inny posmak. Przecież na małym skrawku polskiej ziemi rodził się sport. Mecz oznaczał, że rozpoczęło się normalne życie, już bez zarządzanych przez okupanta politycznych godzin, ciągłych represji, niebezpieczeństwa aresztowania.

Jak właściwie doszło do tego pierwszego po 22 Lipca sportowego widowiska? Śmiało można powiedzieć, że gdyby w tym czasie nie było w Lublinie Stanisława Zalewskiego, na pierwszy mecz należałoby jeszcze poczekać.

Jako się weźniej rzekło, pan Stasio wyniósł z sali treningowej Domu Żołnierza 16 par rękawic i dwa stopery. Była wojna, kto tam myślał o sportcie! Zalewski nauczał trochę walki na pięści chłopaków z Zemborzyc, ale gdy ruszyło radzieckie natarcie na Lublin, zawinął w worek ten swój sportowy skarb i przybył do miasta. Stasio nie był i nie jest pewien, czy znalazł się tam 25 czy też 26 lipca, w każdym razie na ulicach widział jeszcze zabite konie, leje bombowe, przedzierał się przez rumowiska, by dotrzeć na ulicę Peowiaków, gdzie mieszkała jego mama. Tu przypomniał sobie, że ma schowany bokserki worek, czy gruszkę — pomyślał więc natychmiast o prawdziwych treningach.

— Wiesz, jak to było — opowiada po latach. — Miasto oswobodzone, ludzie zdezorientowani, każdy szuka swoich bliskich przyjaciół, rozgląda się za robotą. Szukali się koledzy, dowiadawali się, czy ten i ów żyje, jak mu się wiedzie. Nasza dawna bokserka paczka była grupką przyjaciół.

Kontaktowaliśmy się w okupację, tak więc i teraz nie było problemów.

Skrzyknął się więc pan Stasio z Tadeuszem Marciniakiem, znanym sędzią, z Zielińskimi, Ładami, Albinem Lewandowskim, Choiną. Powspominali dawne dzieje, przypomnieli sobie ten majowy mecz w kinie „Apollo” i nagle wszyscy zgodnie stwierdzili, że nie stoi na przeszkodzie; by rozegrać kolejne zawody. Teraz już bez obaw o własne bezpieczeństwo. Jakoś nikt nie zastanawiał się nad tym, że parę lat nie trenował, że stracił kilka kilogramów na wadze, jedząc okupacyjny chleb, że w końcu niejednym z nich miał za sobą partyzancki las.

— Znowu, jak dawniej, obgadaliśmy wszystko z kierownikiem kina „Apollo”, panem Janem Pasternakiem. Nie było to kłopotliwe, bowiem mieszkałem tuż tuż przez ścianę niemalże, znaleźmy się doskonale — mówi Zalewski. — Pasternak wyraził zgodę na mecz, ale zastrzegł się: „Jest nowa władza, nie wiem, jak się na to popatry, idźcie na Spokojną, przynieście papier”.

No i poszedł Zalewski do domu, w którym na ulicy Spokojnej działały już agendy PKWN. Znalazł się w tłumie interesantów. Jedni szukali bliskich, drudzy jakiegokolwiek roboty, mieszkania, pomocy. Tylko jeden człowiek w tym niezliczonym mrowiu ludzkim nie chciał.

— Pomyślałem sobie — wspomina — że chyba mnie nie wyrzucą za drzwi. W końcu ja nic od władzy nie żądałem, tylko jednego małego papierka, że zgadza się na zawody... Czekałem tak parę godzin; jedni wychodzili, drudzy wchodziłi. Zmęczeni, biedni ludzie, których doświadczył los. Wreszcie nadeszła moja kolej. Wszedłem do pokoju z jednym biurkiem i paroma taboretami. Przyjął mnie jakiś umundurowany pan, popatrzył, wysłuchał, usmiechnął się przyjaźnie i bez chwili wahań powiedział tak: „Macie rację, obywateli, ludziom potrzebny jest sport!”. Nie spodziewałem się tak błyskawicznego załatwienia sprawy. Spodzobała mi się ta nowa władza, uosobiona przez człowieka w mundurze, który szybko podjął decyzję. Niedługo potem dołem na piśmie potrzebną Pasternakowi zgodę. Jaka szkoda, że w moich szpargałach nie przechowało się to zezwolenie! Przecież byłby to dla całego polskiego sportu historyczny dokument, godzien eksponowanego miejsca w warszawskim Muzeum Sportu. A przecież z tych czasów mam pozółkie wycinki z gazet, amatorskie fotografie, nawet zaświadczenie wystawione przez władze wojskowe Lublina 25 października 1944 roku, oznajmiają-

ce, że jestem instruktorem boks i mogę wchodzić do Domu Żołnierza w poniedziałki, środy i piątki w godzinach od 17 do 20.

Dalej poszło już łatwo, jak na owe czasy. Bokserzy rozpoczęli normalne treningi by zdobyć trochę kondycji i 20 sierpnia w kinie „Apollo” odpowiednio zaprezentować się publiczności.

Mecz organizowali wszyscy sportowcy. Wykombinowali gdzieś cztery metalowe słupki na narożniki, ale z linami było już gorzej. W końcu zdobyli dwa długie powrozy, by okolic ten prowizoryczny ring. Każdy z zawodników musiał przynieść do kina swój koc, który miał służyć jako mata. Zdobyli ich aż dwadzieścia a sam Zalewski sobie tylko znanym sposobem załatwił aż cztery. Nie wiem, jak tego dokonał, skoro koc w owych trudnych czasach wart był majątku. Widziałem jedną z tych derek w starym mieszkaniu pana Stasia: pokazywał mi ją tak relikwię. Rozpadała się już, murszała, ale Stasio nie miał serca wyrzucić jej na śmietnik, chociaż do niczego się nie nadawała.

\*

Już na parę godzin przed meczem gęstniał tłum widzów. Ludzie pchali się, wyrwali sobie bilety, których przygotowano chyba dwukrotnie więcej, aniżeli mogła pomieścić kinowa sala. Sportowcy dobrali się w pary jak potrafili najlepiej, o zakwalifikowaniu do kategorii decydowała raczej waga reprezentowana przez nich w... 1939 roku. Nad regulaminowym przebiegiem imprezy czuwał jedyny sędzia w tym gronie, Tadeusz Marciniak, a o zdrowie zawodników troszczył się prawdziwy lekarz, Ryszard Jędrzejewski, dawny lubelski lekkoatleta.

— Wyszliśmy w kwadrat załprowizowanego ringu — wspomina Zalewski. — Publiczność długo wiwatowała na naszą cześć, skandowała nazwiska znane jeszcze sprzed wojny, nie można było zacząć walk. Byliśmy wzruszeni. Wiem, że ktoś przemawiał, uży-

wał nazwiska uczestników i wyniki tego historycznego spotkania sprzed przeszło 40 lat: Stanisław Zieliński, zwany „Kajtkiem” zremisował z Józefem Kalitą Stanisław Zalewski pokonał Tadeusza Ładę Lucjan Łada zwyciężył Jana Białka. Jan Choina wygrał z Janem Wojdą, Antoni Maciejewski zremisował z Tadeuszem Orłowskim, a Stanisław Zieliński z Zygmuntem Matuszewskim wreszcie Jan Walas pokonał Stefana Chodelskiego.

Zakończył się mecz, ale nikt z kina nie wychodził, ani uczestnicy ani widzowie. Każdy chciał jeszcze trochę pogadać powspominać, kibiców interesowały losy innych sportowców Lublina. Długo więc trwały pogawranki znanych i nie znanych sobie ludzi.

Dochód z meczu przekazano władzom miejskim jako pomoc dla sierot wojennych.

Tadeusz Marciniak i Stanisław Zalewski zachęceni powodzeniem tego pierwszego powojennego spektaklu, szykowali już inne ciekawe widowiska. W niedługim czasie doprowadzili do meczu Polska — Francja! Z jednej strony walczyli wtedy bokserzy lubelscy, a z drugiej Francuzi — byli więźniowie i jeńcy hitlerizmu, których wyzwolenie zastało na Lubelszczyźnie i traf chciał, że akurat kilku z nich uprawiało niegdyś boks. A potem, w styczniu 1945 roku, odbył się pamiętny mecz „WKS” Lublin — „PZL” Rzeszów. I to spotkanie miało specjalny koloryt. Bokserzy z Rzeszowa jechali na spotkanie wojskową ciężarówką, w śnieżną zadyrnkę, a po zawodach nie mogli powrócić do domów, bo zadyrnka trwała. I wówczas każdy z lubelskich pięściarzy zabrał swojego rywala do domu, żywił go, opiekował się... Tak oto rodził się nowy sport w pierwszym zakątku nowej Polski!

\*

Pan Stasio niedługo zagrzał miejsca w wyzwolonym Lublinie. Wstąpił do Wojska Polskiego, został w nim instruktorem sportowym i wkrótce awansował na chorążego. Wojsko zawiodło



Z panem Stasiem jeden z jego ulubieńców — Jerzy Rybicki, mistrz olimpijski z Montrealu w 1976 r. Fot. Archiwum

wając słów prostych, chwytających za serce, które dzisiaj nazwano by wzniosłymi. Spojrzałem na kolegów — byli dziwnie speszeni. Patrzyłem na tłum widzów — i nic nie widziałem. A gdy usłyszałem pierwszy gong — był to dla mnie prawdziwy pierwszy dzień wolności!

Pisałem o tym pamiętnym meczu ponad dziesięć lat temu na łamach pisma „Boks”, którym kieruję. Myślę przecież, że warto raz jeszcze przywo-

go do Bydgoszczy, gdzie organizował życie sportowe i sam jeszcze parę razy wszedł na ring. Potem Warszawa, ul. Łazienkowska, stadion Wojska Polskiego i nowa prawdziwa trenerska praca w „Legii”. W 1950 r. porucznik Zalewski poszedł do cywila i mógł wreszcie powrócić do rodzinnego Lublina. I został w nim, na dobre i złe, wyruszając tylko tam, gdzie polskie pięściarstwo zdobywało kolejne medale.

## Wideo w WRL

**R**ADA Ministrów WRL rozpatrywała ostatnio problemy związane z upowszechnieniem techniki wideo na Węgrzech. Opowiadając się najbardziej za upowszechnieniem wideomagnetofonów, podkreślono potrzebę stworzenia systemu produkcji i dystry-

bucji wideokaset, który będzie sprzyjał powstawaniu programów korzystnych ze społecznego punktu widzenia, a jednocześnie przeciwdziałal rozpowszechnianiu treści wrożeń i obcych ideałów socjalizmu. Podkreślano również, że „wideo-kultura” należy traktować jako organiczną część węgierskiej kultury narodowej w związku z czym trzeba zapewnić przeważnie typowo węgierskich programów wideo”.

Opowiadano się za priorytetowym traktowaniem obopólnych foras wyko-

że sukcesy w tej dziedzinie w sposób najbardziej bezpośredni służyć będą celom politycznym i kulturalno-światowym. Ważny jest także rozwój i rozpowszechnienie indywidualnych wideomagnetofonów, choć powinien on mieć znaczenie drugoplanowe.

W dziedzinie rozpowszechniania kultury wideo szczególna rola przypada telewizji węgierskiej, jako samodzielnemu producentowi, wydawcy i dystrybutorowi programów. Na posiedzeniu Rady Ministrów WRL postawiono zadanie stworzenia w całym kraju sieci wyproduk-

wideokaset. Proponuje się także, aby własnymi siłami wideokaset dysponowały biblioteki. Na Węgrzech rozpoczęto już przygotowanie specjalistów zajmujących się wideotechniką. Dotyczy to m.in. kształcenia osób mających kierować klubami wideo.

(ab)



## Byle mieć?

**C**ZEKAJĄC cierpliwie w normalnej kolejce, bez pomocy asygnyaty czy innego talonu, za własne, latami ciulane pieniądze kupilem oto w grudniu minionego roku fiata 1500. Kiedy kilka dni później, zapakowawszy do wozu uradowaną rodzinę, skierowałem swoje marzenie na lubelskie ulice, spod samochodu wystrzeliła nagle w górę wielka nakrętka na śrubę przedniego zawieszenia, pięknym łukiem lądując na poboczu. Pojazdem zarzuciło — na szczęście przy szybkości 30 km na godzinę, na pustej jezdni. Moje zażalenie w tej sprawie przyjęło w lubelskim „Polnozbycie” spokojnie, radząc mi tylko, bym dokręcił śruby i tłumacząc, że trudno od nich wymagać sprawdzania wszystkich podzespołów w trakcie tzw. przeglądu zerowego, który należy do obowiązków przedsiębiorstwa. Potem okazało się, że samochód cierpi na zaawansowane pijaństwo — spala jakieś 30—35 litrów na 100 km, bo mistrzowie z FSO tak zmagistrowali aparat zapłonowy, że wehikuł porusza się tylko na dwóch cylindrach, co zresztą ustaliła dopiero trzecia nasza stacja obsługi, przy ul. Melgiewskiej, której niniejszym dziękuję za to. Oczywiście, już po kilku dniach eksploatacji, zepsuła się dmuchawa („ależ pan mi na dał roboty”, strofował mnie elektryk z PZMot-u, któremu przyszło reperować urządzenie), a drzwi podczas niższej temperatury do dziś bronią się przed zamknięciem. Itd., itp.

Boli mnie także troszkę, że linia nadwozia FSO 1500 jest jakby staroświecka, choćby w porównaniu z ladą. Mimo wszystko ja próbuję ten samochód pokochać. Ostatecznie wydałem nań kilkadziesiąt tysięcy, no i nie mam żadnego innego wyboru. Owszem, marzyłem o ladzie, o nowym modelu skody, ale kto u nas, w warunkach rynku producenta, respektuje takie marzenia?! A więc: „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”. Byle mieć.

Przypominam tę historijkę z powodów szerszych, niż osobiste. Oto 30 stycznia uczestniczyłem w dys-

kusji na temat wzornictwa przemysłowego w Polsce, zorganizowanej w Warszawie przez Sekcję Krytyki Plastycznej SD PRL. W spotkaniu wzięli udział wybitni artyści-projektanci, minister nowo utworzonego Urzędu Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń, przedstawiciele Instytutu Wzornictwa Przemysłowego, MKiS i innych instytucji. Mówiono o wielu sprawach, dobitnie i podniesionym głosem, stwierdzono przede wszystkim, że sytuacja w wiadomej dziedzinie jest fatalna, gorsza niż przed rokiem 1980.

Według materiałów IWP, skierowanych do Narodowej Rady Kultury, „w przemyśle lekkim, chemicznym oraz szklarskim i ceramicznym w roku 1980 działało 267 placówek wzornictwa”, a trzy lata później — już tylko 190, czyli o prawie 30 proc. mniej. Równolegle zmalała liczba projektantów wzornictwa (o 42,7 proc.), zatrudnionych w tych placówkach i posiadających wyższe wykształcenie. W latach 1980—1983 w przemyśle maszynowym zredukowano struktury wzornictwa o 36,4 proc. „Nie funkcjonuje również w sposób odczuwalny dla działalności gospodarczej przedsiębiorstw, odpowiedni system ocen poziomu wzornictwa wyrobów wdrażanych do produkcji i modernizowanych. Jest to jedną z przyczyn dopływu na rynek — w skali dotychczas nie obserwowanej — produktów o niskich walorach użytkowych i estetycznych”.

Dodajmy, że w całym przemyśle szklarsko-ceramicznym pracuje zaledwie dwóch dyplomowanych projektantów wzornictwa, a w chemicznym — kilku. Tylko 30 proc. wzorów w przemyśle meblarskim to dzieła plastyków. Okazuje się, że w wielu zakładach produkcyjnych projektowaniem nowych modeli zajmuje się... kadra kierownicza lub inni amatorzy! Oczywiście, sytuacja na Lubelszczyźnie nie odbiega od „normy” krajowej: na etatach przemysłu pracuje tu aż dwóch plastyków!

Problem strukturalnego powiązania wzornictwa z gospodarką narodową nigdy w Polsce nie opuszczał wokandy spraw do załatwienia i nigdy też nie został racjonalnie załatwiony. Ale czy w warunkach rynku producenta mogło być inaczej? Nasi ludowi fabrykanci doskonale wiedzieli, że przy niedostatku towarów ludzie kupią to, co będą mogli nabyć, nie przyglądając się bliżej estetyce i walorom ergonometycznym wyrobów, no — byle lodówka nie funkcjonowała jak grzejnik czy so-

kowirówka. Ja musiałem kupić FSO 1500, jeśli w ogóle chciałem mieć coś na kółkach (a niech je, kochane, szlag trafi!). Wzornictwo wydawało się kaprysem zwyrodniałych estetów.

Reforma gospodarcza stawia na konkurencyjność wyrobów, więc możemy mieć nadzieję, że na rynku pojawią się rzeczy tyle piękne, co funkcjonalne. Możemy, tymczasem tylko możemy, albowiem właśnie obecna praktyka, o czym wspominałem, zdaje się kpić z owych nadziei. Rzecz w tym, że samodzielne przedsiębiorstwa ciągle bronią się przed wprowadzaniem innowacji i wielostronnym podnoszeniem jakości (w tym estetyki) produktów. Bo wiedzą, że towar i tak pójdzie, a każda zmiana linii technologicznej to okresowa obniżka zarobków załogi i wytrącenie ludzi z rutyny zawodowej, wymagające wszak pewnego wysiłku. Samorządy pracownicze redukują projektantów wzornictwa przemysłowego — także w ramach akcji poszukiwania rezerw finansowych i likwidowania zbędnych, ich zdaniem, etatów. Nadal, niestety, rynkiem rządzi producent.

Miejmy jednak nadzieję... Cenią bowiem w Polsce fachowców od wzornictwa te fabryki, które produkują na eksport: „Polam”, „Unitra”, wrocławskie „Elwro”, zakłady meblarskie w Swarzędzu... Ich pracownicy wiedzą, że o atrakcyjności towaru na rynku światowym decydują dziś dwie wartości: nowoczesność rozwiązań technologicznych wyrobu i komfort użytkowania. A ponieważ poziom technologiczny czołowych koncernów Zachodu jest zbliżony, konkurują one ze sobą przede wszystkim w sferze wzornictwa, które, integralnie wpisane w cały proces produkcji, oferuje właśnie ów komfort. Okazuje się nawet, że tym atutem można „przebić” i rzeczy trochę lepsze pod względem technologicznym. Wcielenie w życie idei konkurencji to nadzieja na lepsze czasy polskiego wzornictwa, a tym samym — na ładniejsze, sprawniejsze i wygodniejsze przedmioty codziennego i bardziej odświeżonego użytku.

Pozostaje wszak odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego w podobnych systemach polityczno-gospodarczych produkuje się np. samochody tak odmiennie jakościowo, jak FSO 1500 oraz lada, skoda czy nawet wartburg — w linii może już podstarzały, ale przynajmniej niezawodny w eksploatacji?

IJK

## Naród i państwo w dobie kryzysu

Dokończenie ze str. 2

mieć tylko wtedy zdrowotne znaczenie, kiedy nie ma na celu unieruchomienie życia, a przeciwnie, wpisane jest w projekt przyszłościowy. Słabe niszczenie tradycyjnych wzorów osłabia w istocie siły rozwojowe, trwoniąc korzyści płynące z ciągłości. Natomiast sfanatyzowany tradycjonalizm poraża w ogóle wyobraźnię przyszłości, przedstawiając jako wizję docelową powrót do tego, co było.

Szerzenie się w Polsce tradycjonalizmu z jego mesjanistycznym przesłaniem narodowym, obojętne czy na poziomie ciemnym, czy uczonym, wymiata z polskiego życia myślenie o przyszłości i w miejsce wizji konkretnego jutra, mobilizującego zbiorowy wysiłek, naszczenia iluzję niechybnej nagrody.

Wystarczy zagłębić się w masie pisanego słowa, przelewającej się przez różne czasopisma, by zobaczyć, jak pod hasłem zbawienia polskości, zapewnienia jej pomyślnej lokaty na jutro, puszy się, perli, tokuje i nadyma przeterminowana po wielekroć przeszłość, zalecając na wszystko modły, zrywy, demonstracje i cierpienia, jak nawet niedawni „trzeźwi entuzjaści” od budowania Polski przemysłowej plawią się teraz w wizjach moralnego zwycięstwa, choćby odniesionego za zbiorowym grobem.

„Tylko te społeczeństwa mogą myśleć o sobie, że są zintegrowane w sposób owocny i zdrowy, które do wspólnoty o charakterze tradycyjnym dedają stałe na nowo i z rosnącą dynamiką integrujący wymiar wspólnych przedsięwzięć”

„Wiek XX okazał się dla nas surowy i bezwzględny nie tylko przez szalone i burzliwe dzieje, przetrzącające nas coraz to z bytu w niebyt, za każdym razem za najwyższą cenę. Nie tylko dlatego, że musieliśmy odrabiać tak upokarzające nas zapóźnienia w dobie największych technicznych przyspieszeń, a więc jak gdyby trudzić się na darmo, ponieważ horyzont ludzkiego dorobku jeszcze pospiesznie uciekał nam do przodu. Wreszcie nie tylko przez to, że nasze doświadczenia — przemysłowe, techniczne, administra-

cyjne, systemowe — okazywały się zbyt wąskie wobec zadań, które musieliśmy podejmować w biegu, co nieuchronnie podnosiło koszty i tak niemałe, jak na naszą wytrzymałość. Jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, znalazła się w naszym dziedzictwie substancja rozkładająca zbiorowy wysiłek.

„Dla zasklepionych tradycjonalistów żyjących się fanatyczną mieszkanką duchową, złożoną z wypaczonej odmiany katolicyzmu i ze zszowinizowanych form tradycji romantycznej „substancją narodową” są cechy nabyte za życia kilkunastu ostatnich pokoleń. Jednak po takim ich wyselekcjonowaniu, aby niezbicie z tego wynikało, że wszelkie otwarcie na Wschód jest zdradą narodu, a wszelkie otwarcie na Zachód patriotycznym nakazem.

Nastawienie to jest dla nich bezdyskusyjnym dogmatem niezależnym od tego, co działo się i dzieje, i gdzie, rzeczywistość, w zmieniającym się świecie otwierają się perspektywy dla losów narodowych. Dla okcydentalisty Zachód ma oczywiście prawo kierować się w polityce własnym interesem, także i wtedy, kiedy wynikają z tego dla nas szkody, bo trudno wymagać, aby w polityce cudze racje miały pierwszeństwo przed własnymi. Jeżeli natomiast idzie o politykę Wschodu, to uwzględnienie własnych interesów uznawane jest za objaw nieprawdy i zło-wrogi, niezgodny z humanistyczną tradycją ludzkości i podpadający pod moralne potępienie.

Nasi okcydentaliści akceptują interesy Zachodu nawet wtedy, kiedy są dla nas szkodliwe i z góry potępiają interesy Wschodu nawet wtedy, kiedy przynoszą nam oczywista korzyść.

„Nasz okcydentalista jest namiętnym moralistą wobec Wschodu i nigdy swej moralnej pasji nie używa w kierunku odwrotnym.

Po namiętnych rozważaniach tychże moralistów powstania warszawskiego już prawie nie wiadomo, kto zniszczył Warszawę. Jeśli wyczytać się w poświęconie temu publikacje ogłaszane np. przez „Tygodnik Powszechny”, można by dojść do wniosku, że tak naprawdę to zrównali ją z ziemią właściwie jak gdyby przybycze ze Wschodu.

Otóż, tak wyselekcjonowana „substancja narodowa” jest niczym innym, jak koncepcją przedmurza, przetransformowaną do sfery duchowości. Na polskość składać się ma to i tylko to, co wynika z dziedziczenia kultu dla Zachodu i urazów dla Wschodu.

Polskość tak pojęta gotowa jest zerżnąć wszelkie ślady krzywd doznanych od przybyszów z Zachodu, chociażby były nawet najstraszniejsze, a także wszelkie bliźny po zawodach, które spotkały nas z tego kierunku.

Tę przestarzałą „substancją narodową” trzeba odesłać na emeryturę należną jej już od dłuższego czasu i kontynuować nasze dzieje z tą, która nie wyda beznamiętnie miasta na zagładę i potrafi budować dojrzałą państwowość. Jest to substancja jak najbardziej własna, o korzeniach piastowskich i renesansowych, oświeceniowych i pozytywistycznych, tyle że wypierana od paru stuleci przez coraz to powracającą falę mesjanizmu.

„Historia sprawiła, że cała mordega adaptowania naszych dziedzicznych nawyków do wymogów ery przemysłowej i potrzeb programującego państwa spadła na socjalistyczne przeobrażenia. Spowodowało to wiele komplikacji, dalekich jeszcze do przewyższenia, ale nas interesuje tu tylko jedna. Otóż fakt, że historycznie niezbędne rewizje dokonywały się na gruncie nowej państwowości i to zakładanej wśród ostrych konfliktów wewnętrznych i międzynarodowych sprawiał, że fala konserwatywnego oporu i niechęci do odnowy dziedzicznej powłoki mogła przybierać pozór narodowy i kierować się przeciw nowej państwowości w ogóle.

„Jest w tym jakaś okrutna przewrotność dziejowa. że pod przybraniem romantycznych wezwań, służących kiedyś walce narodowowyzwoleńczej, popycha się dziś naród do tego, by stał się Iranem Europy Środkowej smutnym i niepojętym siedliskiem fanatyzmów nie spotykanych już w krajach rozwiniętych.

Otóż na Iran w tej części świata nie ma miejsca i nie państwo, lecz naród będzie płacił cenę za pogrążanie się w ślepych atawizmach tam, gdzie niezbędny jest szczególny renowacyjny wysiłek.

Dzieje cywilizacji współczesnej dowodzą, że wszelki wysiłek modernizacyjny, jakiego jej rozwój nieustannie wymaga, nie jest możliwy bez opieki państwa i jego możliwości organizacyjnych.

Kto w tej epoce gwałtownych przyspieszeń obezwładnia i demoluje państwo, ten pozbawia naród jedynej

możliwości utrzymania się na powierzchni dziejów.

„Piszę to, bo niefrasobliwe panie, zajmujące się krzewieniem mesjanizmu, robią, co mogą, aby przeciwstawić państwo — narodowi lub państwo — ojczyźnie. Tak czy inaczej zawsze idzie o to, aby z myślenia współczesnych Polaków wykreślić państwo jako pierwszorzędny i nieodzowny współczynnik narodu.

„Historia nie jest domem towarowym, w którym można sobie dowolnie wybierać najrozmaitsze sposoby urzadzania państwa.

„Dwa razy w XX wieku historia przywróciła Polsce jej państwowość. Pierwsza okazała się burzliwa i nie-trwała, drugą trzeba tym bardziej szanować, pomimo — a może właśnie dlatego, że nie była tworzona z dowolnych możliwości luksusowego domu towarowego historii.

„Historia osądziła, że unowocześnienie polskiego społeczeństwa dokonuje się wraz z rozwojem socjalistycznej państwowości i procesów tych nie da się oddzielić od siebie... Albo społeczeństwo wspierze socjalistyczną państwowość i razem z nią będzie się rozwijać do nowocześniejszych form zbiorowej egzystencji, albo przez jej obezwładnienie cofnie się do roli zagubionej i bezradnej masy, zamieszkujejącej swoje etniczne terytorium.

„Wyrządza się ogromną krzywdę narodowi wmawiając mu, że jego duchowe dziedzictwo każe sprzeciwić się jego własnej państwowości, do której doszedł przecież z takim trudem. Szachrajstwu, które się wokół tej roboty kręci, przyszłość wymierzy kiedyś należną ocenę.

Nikogo nie zadowala dzisiejszy stan państwa ani wyniki, do jakich doszliśmy. Wszystko, co zostało wyżej napisane, pochodzi z gromadzącej się w każdym zgrzyoty, że dom, który sami sobie budujemy, nie staje się domem miłym do mieszkania. Podzielam wiele zastrzeżeń wobec niego, ale jednocześnie jestem zdania, że aby czynić go bardziej sensownym, bardziej odpowiadającym naszym aspiracjom, potrzeba nam więcej normalnych kolodziejów, a mniej nawiedzonych bufonów i mistyków. To przecież od pracowitych kolodziejów rozopodziała się w ogóle nasza tradycja, czyli, inaczej mówiąc, tożsamość narodu.

Od redakcji: fragmenty tekstu Andrzeja Wasilewskiego drukujemy według dokonanego przez nas wyboru i bez autoryzacji





Martyna i Andrzej Nowak.

Fot. Mirosław Makowski

## W tonacji bluesa

**K**RETE są drogą popularności niektórych wykonawców z kręgu rocka. Ci, którzy na nią autentycznie zasługują, często tkwią gdzieś na peryferiach rozrywki, a słodczy i rozkoszy sławy zażywają miernoty, mając niewiele do zaoferowania. Piosenkarka zdecydowanie niedowartościowana zdaje mi się Martyna Jakubowicz. Ta entuzjastka bluesa i folku, niezła kompozytorka gitarzystka, a przede wszystkim zmysłowa wokalistka, za długo wszystkim zmysłowa wokalistka, za długo o tym po części brak dużej płyty. Ukazała się ona niedawno z blisko dwuletnim opóźnieniem. Przyniosła nieco zapomniany repertuar, ale także wspaniałe, godny wysłuchania w skupieniu. Płyta „Maquillage” jest niezwykła jeszcze z jednego powodu. Stanowi ostatnie nagranie studyjne nieodwołalnego wirtuoza harmonijki Ryszarda Skibińskiego.

Jakubowicz zasłynęła w 1982 roku kapitałną piosenką swego autorstwa „W domach z betonu nie ma wolnej miłości”, której rozgłos wykraczał poza granice sezonu. „Betony” długo brylowały na listach przebojów, chwalone za dynamiczny głos solistki, wyczuwalny bluesowy frazy i elektryzujące solówki gitary. Powtórzył je na płycie jeden z najlepszych polskich gitarzystów rockowych Andrzej Nowak, były muzyk TSA, a obecnie szef kapeli Martyny. Dowodzona przez niego formacja gra jakby w cieniu solistki, ale jest to muzyka na najwyższym poziomie, szalenie sugestywna, kipiąca wigorem i rockowa ekspresja. Stylizacyjnie niejednorodny materiał dźwiękowy ma silne porażania pięknym. Nie sposób inaczej skomentować popisu Martyny i szczęściu towarzyszących muzyków, stawiających przede wszystkim na specyficzny nastrój. Wprawdzie większość kompozycji pozostaje właściwie mało znanych, ale mają one w sobie tyle „czadu”, jakiego nie uświadczy na żadnej płycie polskiego wykonawcy ostatnich lat, i choćby dlatego warto ten krążek zakupić, mimo dwuletniego opóźnienia produkcyjnego.

Pierwsza płyta jest podsumowaniem pewnego etapu artystycznego Martyny Jakubowicz. Następnym powinien zaowocować jeszcze lepszymi wydawnictwami i większym, niż dotąd, rozgłosem. Znajac możliwości kapeli Martyny z koncertów, wierzę, że jest

to możliwe. Przypomnę, iż oficjalna kariera estradowa piosenkarki zaczęła się w 1980 roku od telewizyjnych nagrań — „Pewnej niedzieli”, „Bede wolna” i „Złote serce”. Były to czasy małych klubów, występów z jedną gitarą akustyczną, prób pokazania się z półelektrycznym zespołem Robotnik Sezonowy i udziału w spotkaniach bluesowych. Mówiło się wtedy o „polskiej Joan Baez”, o pierwszej damie polskiego folku. Znawcy utrzymują, że była to dla niej tzw. przygoda z piosenką. Terminowanie z materiałem znanym z wielu dobrych wykonania, do którego lepiej nie zabierać się, jeśli nie jest się w stanie wykonać go na poziomie dorównującym wersji oryginalnym. Ta próba skwitowana została bardzo ciepłymi recenzjami, przyznającymi piosence prawo do ulegania się o palme pierwszeństwa.

Drugie stadium rozwoju artystycznego Martyny zaczęło się od listopada 1981 roku, kiedy nagrała wspomniany już utwór „W domach z betonu...”. Wtedy to wokalistka uwiaryła we własne siły i zaczęła komponować coraz ciekawsze, bogate harmonicznie piosenki. „Posłuchaj Marta”, „Kłopoty to jej specjalność”, „Tyle zalet miał”, „Wielka fala”, „Rosa taka sama od lat” — to utwory, które przekonały fanów, że mają do czynienia z piosenkarką wszechstronną i całkowicie współczesną, otwartą na nowinki, a przy tym nie rezygnującą z dokonania bluesowej tradycji.

Trzeci (moim zdaniem, najciekawszy) etap w rozwoju muzycznej osobowości wokalistki otworzył stworzenie własnej elektryczno-bluesowej formacji. Jej siłę przebiła można ocenić po pierwszym singlu Tonpressu z dwoma rajcowymi kompozycjami Martyny i Nowaka „Armagedon w każdej chwili” i „Na kolana, ale płama”. Rozmicy uległo dawne złudzenie o podobieństwie do brzmienia Dire Straits, a grupa zyskała na wyrazistości. Jest to obecnie jedna z największych nie spełnionych dotąd, nadziei rodzimego rocka. Myślę, że do czasu, kiedy o Martynie i jej kapeli będzie mówiono w aurze sensacji muzycznej. Kto wie, czy nie nastąpi to już wkrótce.

I.G.

## Ekran i widz

# Makuszyński znów na ekranie!

**K**IEDY piszę ten felieton, trwają jeszcze ferie zimowe, dzieci okupują lubelskie kina jako że tutejsze OPRF przygotowało naprawdę atrakcyjny program dla młodych widzów. I dlatego tym bardziej warto przyrzeć się najnowszemu polskiemu filmowi otwierającemu kinowy 1985 rok — „Szaleństwo panny Ewy”, nakreślonym przez Kazimierza Tarnasa na podstawie znanej książki Kornela Makuszyńskiego. Film cieszy się — dodajmy — ogromnym powodzeniem wśród młodej widowni, podobnie jak ubiegłoroczna „Akademia Pana Kleksa” wg Jana Brzechwy, zrealizowana z werwą i rozmachem przez Krzysztofa Gradowskiego.

Właśnie przy okazji „Akademii Pana Kleksa” pisałem kiedyś na tym miejscu o potrzebie wprowadzenia dziecięcego i młodzieżowego polskiego filmu na właściwe tory: aby narazicie znowu na ekranach doszła do głosu poezja, baśniowość, dobroć i uśmiech, żeby filmy dla dzieci i młodzieży przynosiły ze sobą zabawę i przyciągały bez nadmiernej „psychologizowania” i bez natrętnej dydaktyki. Najlepszymi filmami młodzieżowymi, jakie oglądałem, pozostają dla mnie, jak dotąd, radzieckie — „Piętnastoletni kapitan”, „Dzieci kapitana Granta”, „Wyspa tajemnicza”, „Timur i jego drużyna” czy amerykański — „Pieciu zuchów”. Były to filmy krecone z ogromnym wyczuciem dziecięcej psychiki i dziecięcej wyobraźni, chwaliły miłość, szlachetność i dobroć, pięknymi i chwytliwymi, brak idealizmów i małostkowość. Pewnie, rzeczywistość w nich przedstawiana kreślona była najczęściej grubym, wyraźnym konturem, ale... w sposób równie wyraźny zapadały w serca i umysły młodych widzów właśnie wszystkie pozytywne cechy i działania filmowych bohaterów. A o to przecież właśnie chodzi w tego rodzaju filmach.

Historia „Szaleństwa panny Ewy” opowiedziana jest na ekranie w sposób równie zabawny, bezpretensjonalny, prosty i... „radosny”, co w książce Kornela Makuszyńskiego. Tarnas doskonale potrafił uchwycić istotę stylu Makuszyńskiego, jego „promiennego” stosunku do otaczającego nas świata, który — choć nie pozbawiony zła — łatwo daje się zmienić (przynajmniej w części) dzięki odrobinnie dobrej woli, uśmiechu, serdeczności. To prawda, co pisała o książce Kornela Makuszyńskiego badaczka jego twórczości, Krystyna Kulickowska: „Promienniste uśmiechy i słoneczne serca pojawiają się na kartach jego powieści zbyt często, zbyt wiele w nich powierzchownego, sentymentalnego wzruszenia”. Ale przecież, o dziwo, Makuszyński przy tym wszystkim nie irytuje. Przeciwnie: wprowadza w doskonalą nastrój zarówno młodych jak i starych. Pisane „płate przez dziesiąte” książki autora przyciągał Koziołka-Matolka oraz przyciągał i wybrzydzał malpki Fiki-Miki, nigdy nie pretendowały do miana wielkiej literatury, stanowiły natomiast dla czytelników doskonałą zabawę. Właśnie zabawa, w której uczestniczył on wspólnie z autorem.

Podobnie jest z filmem Kazimierza Tarnasa: „Szaleństwa panny Ewy” (ciąg przyciąga piętnastoletniej dziewczynki, która — sama niezbyt szczęśliwa, bo pozbawiona na pewien czas opieki ojca — stara się pomóc innym w ich smutkach, troskach i nieszczęśliwościach), przynosi półtorej godziny, niewymuszonej wspólnej zabawy — reżysera, aktorów i widzów. Akcja osadzona w początkach lat trzydziestych, w Warszawie, toczy się z wdziękiem i lekkością od samego początku filmu, widownia w lot chwytła dowcip sytuacyjny i słowny. I — o dziwo! — okazuje się, że Makuszyński ani jego styl, ani jego humor, wcale się nie zestarzały, że w czterdziści cztery lata po napisaniu „Szaleństwa panny Ewy” widzenie świata przez dawno już niezłaznego, starego pana Makuszyńskiego, nie różni jakoś dzisiejszej młodej widowni. A jego poczucie humoru wcale nie kłóci się z dzisiejszym.

A my, starsi, możemy jeszcze pod uwagę, że radosne, pełne „słonecznego uśmiechu” oraz wiary w dobroć człowieka „Szaleństwa panny Ewy” były pisane przez prawie sześćdziesięcioletniego człowieka, w pełni okupacyjnego mroku, w roku 1940, bez nadziei na szybkie ukazanie się książki na półkach księgarskich. Pięknie później, po wielu latach, właśnie po roboczym pokazaniu sfilmowanych „Szaleństwa panny Ewy”, napisał na łamach „Przeglądu Tygodniowego” Piotr Kuncewicz: „Makuszyński opierał swą baśń na prawdziwej czy też udawanej wierze w dobro natury ludzkiej. Ale ostatecznie cała ludzkość tylko na takich wiarach się opierając jakoś doszła do dzisiaj, co prawda z lekką oszalecia. Kto wie, może i my jakoś przetrwamy?”

Nie rozwodzę się na temat treści filmu, bo, ostatecznie, wszyscy znamy „książkowe” perypetie i „szaleństwa” panny Ewy Tyszowskiej spędzającej wakacje w domu państwa Zawadzich, w oczekiwaniu aż jej ojciec, bakteriolog, opanuje w dalekich Chinach wybuch groźnej epidemii. Natomiast muszę stwierdzić, że bez talentu, osobowości i ogromnego wdzięku młodzieżowej postaci tytułowa, filmowa „Szaleństwa panny Ewy” nie osiągnęłyby takiego stopnia atrakcyjności i takiego poziomu, nie dalyby takiego efektu, jaki — z przyjemnością — obserwujemy na ekranie. Czy mniejsza przez to zasługa reżysera? Wcale nie. Przecież to on Dorotę Grzelak „odkrył”, wybrał ją spośród 350 kandydatek do roli Ewy, on z tej kilkunastoletniej dziewczyny zrobił „prawdziwą” aktorkę. Piszę przedostatnie słowo w cudzysłowie, bo przecież nie wiemy, czy Dorota Grzelak zostanie w przyszłości aktorką zawodową, i czy się „sprawdzi” w innych filmach. Ale w każdym razie teraz to właśnie na niej „trzymać się” — jak się powiada w tzw. „branży” — cały film o szaleństwach panny Ewy!

Szczerze polecam obejrzenie go wszystkim młodym — od siedmiu do siedemdziesięciu lat!

M. D.

## Inni i Wieniawski

**R**OK 1985 obfituje w wielkie rocznice muzyczne: 300 lat temu przyszedł na świat Jan Sebastian Bach, w tymże samym roku urodził się Georg Friedrich Haendel, a 150 lat temu w lubelskim domu Reginy i Tadeusza Wieniawskich rozległ się krzyk niemowlęcia, którego przeznaczeniem było zostać wirtuozem i używać strun nieco odmiennych od głosowych.

Mimo sławy, jaką zapewnił sobie Henryk Wieniawski jeszcze za życia, koncertując na licznych estradach świata, bibliografia dotycząca jego osoby jest bardzo skromna. Dotyczy to zresztą wielu wybitnych Polaków. Dlatego cenna pozycja, która nie tak dawno pojawiła się na księgarskich półkach i jeszcze jest do zdobycia, okazała się książką Mieczysławy Demskiej-Trębaczowej pt. „Sławni, znani, zapomniani”. Autorka, lublinianka z pochodzenia, przeła długie lata zajmując się historią i teorią muzyki, zebrala materiał łacie imponujący, którego część wykorzystała na napisanie popularnej monografii.

Lublin był niegdyś miastem znakomitych skrzypków i dobra szkoła ukształtowała niewątpliwie najwybitniejszego z nich, Henryka Wieniawskiego. Ale przecież i oni musieli czerpać natchnienie z otaczającej ich atmosfery, ubarwionej tradycjami, wywodzącymi się jeszcze z XV wieku. Mimo dość skąpych informacji z tego okresu, wiadomo że działały w Lublinie liczne chóry, bractwa i kongregacje muzyczne, z Lublina też wywodził się muzyk Jan, którego Tabulatura organowa, odnaleziona w Krańniku, narobiła tyle zamieszania w świecie.

Od opisu tego bieszcennego zabytku rozpoczyna Demska marsz przez wieki. Szczególnie dużo miejsca poświęca osobom muzyków zapomnianych, odgrywających jednakże ważną rolę w nieprzerwanym toczącym się historii. Jak pisze autorka, to „historia sama dokonuje wyboru i wyznacza miejsce poszczególnych jednostek [...] Są artyści — wyrobieni, dysponujący poprawnym rzemiosłem, w ciency uprawiający swoją profesję i nie pretendujący do sławy, chwwały i popularności. Często właśnie oni przygotowują miejsce dla największych. Tak było w wypadku Ostrowskiego, który był skromnym prekursorem Chopina, czy też Stanisława Serwacynskiego, który edukował Henryka Wieniawskiego”.

Poza wyżej wymienionymi było ich, jak się okazuje, wielu. Czy to Michał Biernacki, zapoznany kompozytor i publicysta „Echa Muzycznego, Teatralnego i Artystycznego” w latach 1897—1906, wreszcie dydaktyk, autor znakomitego podręcznika — „Zasady muzyki”, wykorzystywanego w szkołach aż do lat sześćdziesiątych. Czy też rówieśnik Karola Szymanowskiego — Ludomir Rogowski, wszechstronnie wykształcony przez takich nauczycieli, jak Zygmunt Noskowski, Emil Młynarski, Hogo Riemann, czy Artur Nikisch. Przyjaźnił się z Ignacym Paderewskim, Anatolem France'em, Isadorą Duncan. Niezwykła osobowość, nowator muzyczny, twórca kompleksu skal wykorzystywanych w licznych kompozycjach. Także Błozof — literat o wszechstronnych zainteresowaniach. Sam skazał się na

zapomnienie, zamykając się w klasztorze w Dubrowniku. Nie zapomina też autorka o Aleksandrze Bryku, u którego uczyła się w szkole muzycznej folkloru i instrumentoznawstwa. Miała szczęście znaleźć się wśród rówieśników, z powodzeniem kontynuujących wspaniałe tradycje lubelskiej szkoły. Dzieje tej szkoły, ukazane poprzez własne przeżycia autorki, okazały się znacznie ciekawszą lekturą niż suche fakty i daty, spotykane zwykle w podobnych opracowaniach.

Stosunkowo najmniej pracy włożyła Demska w ukazanie sylwetek „sławnych i znanych”, opierając się jedynie na dostępnej, dość skąpej bibliografii dwóch skrzypków — Karola Lipińskiego i Henryka Wieniawskiego. Za to w sposób skondensowany ukazała ich związki z rodzinną ziemią, wykazując niezbicie, że mimo pozornego kosmopolityzmu, o który posiadano zwłaszcza tego pierwszego, ich twórczość i działalność wywodził się z rodzimej muzyki i tych przeżyć, jakie mogą być tylko dziełami wrażliwych dziecięcych serc.

Pierwsza próba literatury przeznaczona dla przeciętnej melomana i miłośnika dzieł w Lublinie zainteresuje na pewno każdego z nich. Czyta się ją.

Mieczysława Demska-Trębaczowa zadbała również sama o stronę graficzną książki, angażując do rysowania swego syna i męża, którzy stworzyli całkiem udane wizerunki artystów i zabytkowych budowli. Poza tym opatrzyła swą książkę aneksem, zawierającym spis utworów poszczególnych kompozytorów. Pewnie liczy na to, że stanie się ona inspiracją dla innych muzykologów, chcących zająć się tymi ciekawymi biografiami, które w ogólnym zarysie nakreślone zostały, i tymi, które ciągle jeszcze czekają na odkrycie.

Irena Filus

Mieczysława Demska-Trębaczowa, „Sławni, znani, zapomniani”, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1983.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wójcik, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. Adres redakcji: 20-625 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 258-83, dział publicystyki i literacki 273-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-960 Lublin, skrytka poczta w 234, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 263/85, 5.02.1985, 1-5



Jan Kiliński i Józef Sierakowski sprawowali podczas powstania kościuszkowskiego władzę municypalną w Warszawie. Pewnego razu pani Kraszińska, dama wielkiego rodu, zaprosiła ich do palacu, gdyż chodziło jej o uzyskanie paszportu na wyjazd za granicę. Po rozmowie Kiliński pocałował na pożegnanie panią domu w rękę okrytą rękawiczką. Widząc to Józef Sierakowski powiedział:

— Mój kolega, szewc, ucałował rączkę przez skórę, ja zaś, jako rzeźnik, biorę się do mięsa. Proszę zdjąć rękawiczkę.

Kraszińska, z wymuszonym uśmiechem, spełniła żądanie.

★

Pewien dziennikarz zapytał swego czasu Marka Twaina, czym jest wieczność.

— To tylko chwila — odrzekł wielki humorysta.

— Wobec tego — powiedział chytry dziennikarz — niech mi pan pożyczyci 200 dolarów.

— Dobrze — odparł Twain — za chwilę...

Zona Ludwika XV, Maria Leszczyńska, była bardzo zabobonna. Gdy zmarła jedna z faworyt króla, księżna de Chateauroux, królowa bała się sama spać i trzymała bez przerwy przy sobie pokojówkę. Kiedy ta pewnej nocy odeszła na chwilę, królowa zrobiła jej awanturę krzyżując:

— Jak mogłaś mnie opuścić? A nuż w tym czasie zjawiliby się nieboszczka?

Na to pokojówka nie bez złośliwości:

— Ależ Wasza Królewska Mość! Gdyby nawet księżna wróciła z tamtego świata, to chyba nie po to, by wchodzić do sypialni Najjaśniejszej Pani...

★

Prezydent USA Lincoln lubił opowiadać następującą dykteryjkę: „Król, wybierając się na polowanie, zapytał ministra dworu, czy będzie padał deszcz. Minister odpowiedział, że pogoda zapowiada się znakomicie. Udawszy się w drogę, król spotkał chłopca jadącego na osle, który go ostrzegł, że będzie padał deszcz. Król wyśmiał go i pojechał dalej. W czasie polowania

zewała się wielka burza i spadł ulewny deszcz. Wszyscy przemokli do ostatniej nitki. Po powrocie do domu król wygnął ministra i kazał odszukać chłopca.

— Powiedz mi, skąd wiedziałeś, że będzie padał deszcz?

— To nie ja wiedziałem, lecz mój osioł — odparł chłop. Król odesłał chłopca do domu, a ministrem mianował osła.

— Od tego czasu każdy osioł uważa, że należy mu się stanowisko państwowe — zakończył Lincoln.

★

Gdy Winston Churchill utracił w pewnym momencie swej kariery politycznej stanowisko, wszyscy zaczęli go uważać za „politycznie skończonego”. Wówczas to genialny kpiarz, Bernard Shaw, posłał Churchillowi dwa bilety na premierę swej nowej sztuki z następującym liścikiem: „Przesyłam Panu dwa bilety: jeden dla Pana samego, drugi dla przyjaciela, jeśli jeszcze posiada Pan choć jednego...”

Churchill odesłał bilety z następującą odpowiedzią:

„Niestety, nie będę mógł przyjść na premierę, proszę bardzo o przysłanie mi dwóch biletów na drugie przedstawienie, jeśli takie będzie Pan miał”.

Wyszperał:  
Ryszard Dunin

# Krzyżówka nr 4

## Szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przemieścić do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać fragment opowiadania pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 15 początkowych wyrazów pomocniczych. Pojedyncze czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami, a podwójne — międzydaniami.

Wyrazy pomocnicze

- piękne szkło — 160, 119, 155, 99, 94, 89, 2, 31.
- w stopie drukarskim — 112, 123, 144, 163, 19, 127, 76.
- punkt nad głową — 159, 99, 107, 8, 176.

	1	2	3	4	5
16		17	18	19	20
29	30	31	32	33	34
	45	46	47	48	49
60		61	62	63	64
75		76	77	78	79
90		91	92	93	94
106	107	108	109	110	111
121	122	123	124	125	126
	137	138	139	140	141
153	154	155	156	157	158
	168	169	170	171	172

(cdn.)

nazywa, jak ja się nazywam?... I tak nas wszyscy znają.  
— Ludzmi jesteśmy — powiedział porowaty.  
— To szlachetne z naszej strony. Szefowa, dwie wódki.  
Bufetowa znów podeszła z butelką. Nalata i rze-  
kla:  
— To będzie razem sześć.  
— Zgadza się — powiedział Kuba. — Jestem już zabrzogolony.  
Odeszła. Przez chwilę milczeli patrząc na siebie; porowaty — z zakłopotaniem, Kuba — z satysfakcją. Ulicą turkocząc przejechał ciagnik. Potem porowaty podniósł kieliszek.  
— Najlepszego.  
— Najlepszego — rzekł Kuba.  
Stuknęli się kieliszkami i wypili. Kubę ogarnęło ciepło; szczęśliwe, bolesne, wypinające każdy kawałek ciała ciepło. Nie był już smutny; był młody, silny i zdrowy. Bufetowa stała się nagle podobną do Lollobrigidy, porowaty wydawał się wcale sympatycznym człowiekiem, bar — przyzwolnym, ciepłym, mądrym miejscem na ziemi.  
— Jeszcze raz — powiedział Kuba.  
Bufetowa nalata.  
— Jeśli pani powie „osiem” — rzekł Kuba — to dziś odbiorę sobie życie.  
Uśmiechnęła się figlarnie i rzekła:  
— Osiem.

IV

Odeszła w głąb baru, kołysząc szerokimi biodrami. W kuchni ktoś krzyknął wściekle: „Schabowy dwa razy”. Na ladzie syczał niklowany ekspres; odbijały się w nim zdeformowane twarze siedzących. Górnik z afiszem uśmiechnął się wyrozumiale; orzeł podrywał do lotu swoje twarde, wspaniałe skrzydła. Kuba bezmyślnym ruchem poprawił krawat i wznowił kieliszek, rzekł:  
— Napijemy się.  
— Pod co? — zapytał porowaty. Miał oczy uszczęśliwione.  
— Pod órn. Pasuje?  
— Pasuje — odparł tamten. — Pod tego ptaszka przepilem już mnóstwo forsy. Odjazd.

— Cześć — powiedział Kuba gromkim głosem. Znów spojrzął na górnika i orła i zmrugnął do nich oko. Potem spojrzał na porowatego, który już wypił i wachał chleb z twarzą strasznie wykrzywioną. Na skroniach miał resztki kędzierzawych włosów; nos jego był krótki i tępy. „Wyliszał, biedaku” — pomyślał patrząc na niego Kuba. I nagle ogarnęła go fala rozrzewnienia. — Wie pan co — powiedział serdecznie, kładąc dłoń na jego ramieniu — wypijmy brudzia. Ja jestem swój, zwyczajny, prosty chłopak. Mam kiepskie życie, niech mi pan wierzy... Lubie takich jak pan. Zgoda?  
— Zgoda.

stała. — Innego piwa na razie nie ma. Przywożę nam o piątej. Teraz jest... — Odsunęła rękaw kityla i spojrziała na zegarek. — O, jeszcze wcześnie! Wpół do czwartej.  
— Niech pani da porter — wymamrotał Kuba. — Szybciej, proszę...  
— Przecież się nie pali — powiedziała odslaniając w uśmiechu końskie zęby. — W cieniu szkło nalać czy w grubie?  
— Wszysko jedno. Wódka to jest wódka. Nie jestem pijakiem.  
— Ale klienci mają różne wymagania — rzekła.  
— Czasem trafia się taki, co nie wypije z grubego szkła, żeby tam nie wiem co. Czy pan jeszcze co życzy?  
— Nie — powiedział Kuba i energicznie potrząsnął głową — Nie będę więcej pić. Tylko tu setka i do domu. Koniec. Albo wie pani co? Jeszcze jedna, od razu...  
Wypił i postawił kieliszek na ladzie. Odetchnął. Potem wypił jeszcze jedną wódkę. „Zle robię, że mówię do siebie. Przecież wiem, że źle robię, że nie mogę zrobić już nic gorszego. Przed chwilą też to wiedziałem; wiedziałem, że wódka to najgorsza rzecz, jaka mogła mnie dzisiaj spotkać. Jeszcze mógłbym się w tej chwili opamiętać...” I nagle zimna łapa strachu zdławiła mu mózg.  
— Jeszcze jedną — powiedział szybko.  
Wypił i myślał dalej: „Wiedziałem i — nie opamiętałem się. Jestem pijakiem. Wiem, że wódka to moja śmierć. Wiem czy nie wiem? Wiem. A mimo to napiłem się. Krystyna nie ma już po co przychodzić o szóstej. Nic z tego dziś nie będzie. Zaczęć od jutra... Nagle rozemiał się cicho. — Od jutra? — powtórzył w myślach. — Od jutra... Największym nieszczeniactwem każdego pijaka jest to, że zaczyna od jutra, a nie od dziś. Ja przecież jasno wiem, co zrobiłem...”

— Zapomina pani o mnie — powiedział głośno. Bufetowa zbliżyła się ku niemu z butelką.  
— To już chwata — rzekła.  
— Sam znam tabliczkę mnożenia.  
Wypił; odetchnął głęboko i zapalił papierosa. Ręce miał zwinne i mocne, nie trzęsły się już tak jak rano. Patrzył na nie z przyjemnością. Kolo niego ktoś powiedział z uznaniem:  
— Zdrowo pan ciągnie.  
— Napiję się pan ze mną? — zapytał; tamten był niskim, tegim, tysiającym mężczyzną o porowatej cerze.  
— Chętnie — powiedział grubym głosem porowaty. — Ale ja jestem pusty.  
— Ja pana zapraszam.  
— Nie znamy się.  
— Ja pana znam.  
— Mnie? — zdumiał się porowaty.  
— Tak. Pan się nazywa Kowalski.  
— To pomyłka — powiedział porowaty. — Nazywam się...  
— Ach, do diabła — znudzonym głosem przerwał Kuba. — Czy to nie wszystko jedno? Jak pan się



OCZĄŁ padał deszcz. Łudzie kullli się z zimna; pódokli, kolnierz palk i przemykali pod murami. Ciężność naciągala nad miasto; wysoko, za brudnymi chmurami, umierało światło dnia. Zapalały się pierwsze okna; wiatr kołysał latarnie i zamiatal ich światłem kałuże. — Udręka — pomyślał Kuba przyknuwszy oczy. — Udręka... Zaczepił jakiegoś chłopca i zapytał:  
— Gdzie tu jest knajpa?  
— Tu pełno tego — powiedział chłopiec. — Najbliżej za rogiem. „Pod orłem” tak?  
— Może być — powiedział Kuba. — Gdzie to jest?

Po chwili Kuba wszedł do środka. Pachniało piwem; starymi zakąskami i zjeizratym tuszczem; na suficie od lata kołysały się lepy pełne resztek kuch. Nad bufetem rozpostarli szeroko skrzydła wypchnany orzeł; obok, z afiszem o onydnym barwacu, strzelały wiekie litery. „Alkohol to twój wróg” — odczytał Kuba. „Zostań górnikiem” — namawiał drugi afisz. „Nawet doweinle!” — pomyślał i uśmiechnął się. Staraf-przy-ladzie i pstryknął w palec. Bufetowa podeszła.  
— Jedna duza — powiedział Kuba; zsunął kapełusz na tył głowy.  
Bufetowa przyjrzała się jego potłaczzonej twarzy i powiedziała:  
— Wypadek przy pracy?  
— Po pracy.  
— Co się stało?  
— Jedna duza — powiedział Kuba.

Zakąskę pan życzy?  
— Może być.  
— Sledzik?  
— Może być.  
— Piwo?  
— Może być.  
— Ale tylko porter — rzekła rozkładając ręce; była równie brzydka jak afisz, pomiędzy którymi

- projektodawca — 172, 83, 140, 113, 123, 177, 19, 8, 45.
- miasto na Łużycach — 154, 124, 33, 97, 15, 149.
- znawca ryb — 142, 173, 80, 43, 99, 69, 63, 32, 49.
- napar, wyciąg — 180, 156, 105, 41, 147, 174, 12.
- żywna kłeba na skalach wablnych — 151, 82, 51, 47, 77, 59, 137.
- przez sekwestratora lub komornika — 150, 146, 36, 121, 63, 23, 75.
- lekliwość — 106, 170, 143, 52, 96, 17, 8, 61, 33, 13, 34.
- ziele rycyny — 145, 163, 129, 120, 11, 30, 170.
- wodzirej — 175, 54, 62, 3, 179, 16, 66.
- system zapisu — 133, 101, 70, 57, 14, 82, 83.
- utwór — 168, 39, 117, 25, 157, 90.
- japońska złotówka — 167, 153, 141.
- cyngiel — 159, 109, 60, 67, 133.
- wybrane kierownictwo — 40, 90, 103, 132, 110, 122.
- powieść Zeromskiego — 45, 53, 84, 103, 115, 102, 120.
- tekstylny okrycie na głowę i ramiona — 79, 114, 119, 143, 21, 82.
- np. hitlerizm — 111, 5, 109, 132, 93, 53, 58.
- jednostad — 83, 191, 84, 91, 27, 121, 27, 74.
- wierza w możliwość łączenia się duszy z bóstwem — 4, 163, 7, 102, 41, 63, 22.
- powód bodziec — 139, 136, 71, 20, 84.
- liny do mocowania statku w porcie — 125, 28, 23, 49.
- kobieta demoniczna — 116, 124, 29, 150.
- żona Nerona — 100, 44, 81, 1, 63, 72.
- handluje antykami i dziełami sztuki — 138, 75, 164, 13.
- złotka odciała mierzęja — 104, 73, 171, 9, 20.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 331 39-550 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowe za 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI SZYFROGRAMU NR 2  
Tadeusz Rózewicz  
„Smulek w starych dekoracjach”  
Nagrodę wylosował Janusz Adriałowicz ul. Transportowa 22 m. 6, 39-300 Jelenia Góra.